

# „Dobry wieczór Monsieur Chopin”.

27 października 2016 r. na XX Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie miała miejsce premiera książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (wyd. Novae Res). Oto kolejny fragment książki - o powstaniu widowiska teatralno-muzycznego „Dobry wieczór Monsieur Chopin”.



Żelazowa Wola

## Joanna Sokołowska-Gwizdka

Na tle obrazów Mazowsza oraz parku i dworku w Żelazowej Woli, z dochodzącą z dala muzyką Chopina, słysząc głos.

### ***Kustosz:***

*Chcę bajkę opowiedzieć*

*Ze wszystkich najprawdziwszą,*

*O pewnym chłopcu i przyjacielu jego*

*Zaczarowanym fortepianie.*

(...)

Obraz się zmienia, jesteśmy we wnętrzu dworku w Żelazowej Woli. Ten sam głos podejmuje dialog z duchem Chopina.

**Kustosz:**

*Dobry wieczór, monsieur Chopin.*

*Jak pan tutaj dostał się?*

**Głos Chopina:**

*Ja przelotem z gwiazdki tej.*

*Być na ziemi to mi lżej:*

*stary szpinet, stary dwór,*

*ja mam tutaj coś w C-dur,*

*(taką drobnostkę, proszę pani),*

*w starych nutach stary śpiew,*

*jesień, leci liście z drzew.*

Głosy cichną, nowoczesna, energiczna, młoda kobieta zapala lampę.

- Witam państwa bardzo serdecznie w Żelazowej Woli - mówi - i zapraszam na wędrowkę śladami wielkiego kompozytora.

Zaczyna oprowadzać po miejscach Chopina, jego życiu i pozostałych po nim śladach. Tak zaczyna się widowisko teatralne poświęcone życiu i twórczości naszego wielkiego kompozytora.



Wnętrze dworku w Żelazowej Woli.

W 2010 roku, w dwusetną rocznicę urodzin Chopina muzyka wielkiego Fryderyka rozbrzmiewała na całym świecie. Salon również chciał się włączyć w obchody, wprowadzając do swojego repertuaru spektakl przybliżający postać kompozytora. Cały 2009 rok trwały przygotowania, sztuka kanadyjskiej autorki miała być adaptowana przez krakowskiego reżysera. Skupiała się na konfliktach i napięciach pomiędzy Chopinem, George Sand i jej dziećmi w Nohant. Jednak adaptacja poszła tak daleko, że autor nie zaakceptował zmian. Kończył się rok 2009, Maria była przerażona, bo sztuka powinna być już gotowa, a tu jeszcze potrzeba czasu na uczenie się roli, na dobieranie kostiumów, przygotowywanie dekoracji, opracowanie muzyki. Nie chcąc jednak nikogo dotknąć, musiała zrezygnować z tekstu. Co teraz robić? – pytała sama siebie przerażona.

Byłam wówczas w Toronto. Pamiętam, że siedziałam w mieszkaniu przy ulicy Oakmount w High Parku, zapadłam się w głęboki fotel i pijąc kawę, słuchałam pełnej

rozterek Marii. Przypomniały mi się czasy, kiedy byłam rzecznikiem prasowym Festiwalu Chopinowskiego w Nohant i pisałam codzienne relacje do „Rzeczpospolitej”. Zagłębiłam się wtedy w losy Chopina, „zaprzyjaźniłam się” z George Sand i jej artystycznym otoczeniem.

Pamiętam dobrze mój pierwszy przyjazd do Nohant. Było wtedy ciepłe lato. Całe Berry zakwitło łąkami na pagórkowatym terenie.

Posiadłość George Sand położona była w małej średniowiecznej osadzie. Wiejski dwór w stylu Ludwika XV, otoczony dzikim parkiem, był zaniedbany. Mimo że udostępniony dla zwiedzających i wpisany do rejestru zabytków państwowych, a tym samym otoczony opieką państwa, nie miał charakteru muzeum. Przypominał dom w nieładzie, który po jakiejś burzy w pośpiechu opuścili mieszkańcy, zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Dom mimo wszystko zatrzymał ciepłą atmosferę azylu i wspomnienie szczęśliwych chwil oraz ślady po licznych spotkaniach i częstych wizytach nieprzeciętnych gości.



Fryderyk Chopin, L.A. Bisson, 1849 r.

Koncertы w ramach Międzynarodowego Festiwalu Chopinowskiego pod artystyczną

dyrekcją profesora Adama Wibrowskiego odbywały się nie tylko w Nohant, lecz także w pobliskim La Châtre. Spotkałam wtedy mnóstwo ciekawych ludzi, laureatów konkursów chopinowskich, profesorów akademii muzycznych z całego świata. Poznałam też francuską pisarkę Sylvie Delaigue-Moins, od lat zgłębiającą losy Chopina i George Sand oraz jej męża, malarza Claude'a Moinsa. Gościłam w ich dużym, przeszklonym, wielopoziomowym domu na wyspie, z widokiem na wodę i las. Sylvie właśnie wydała książkę – „Chopin u George Sand. Kronika siedmiu lat”. Claude natomiast zrekonstruował słynny obraz Eugène'a Delacroix, przedstawiający romantyczną parę. Chopin siedzi przy fortepianie, a nad nim pochyla się George Sand z kwiatem we włosach. Rekonstrukcja była dla malarza iście detektywistyczną przygodą. Nie wiadomo było, jak dokładnie wyglądał oryginał, gdyż po śmierci Delacroix, przecięto go na pół i odrzucono górne tło. Sprzedając osobno Chopina i George Sand, można było uzyskać wyższą cenę. Obydwie części obrazu przeszły różne koleje losu, ostatecznie Chopin trafił do zbiorów muzeum w Luwrze, a George Sand do Ordrupgaard Museum w Kopenhadze. Malarz Claude Moins odtworzył oryginał, badając drogę, jaką przeszły obydwie części obrazu. Jego największym odkryciem było ustalenie proporcji i układu dzieła, jako pionowego. Do tej pory historycy sztuki uważali, że obraz był poziomy, i takie reprodukcje pojawiały się w albumach.

Gdy opowiadałam o moich przygodach z Chopinem i George Sand, Marii nagle pojaśniała twarz.

– Przecież razem możemy napisać scenariusz przedstawienia! – zawołała z radością.

Wzięłyśmy się więc ostro do pracy. Ja zbierałam materiały biograficzne i wiersze o Chopinie, Maria analizowała teksty, czytała książki i szukała koncepcji wyrazu teatralnego. Spektakl miał być przedstawieniem „eksportowym”, ograniczało to obsadę aktorską do dwóch ról żeńskich, osoby starszej i młodszej. Z konieczności musiało to być widowisko o Chopinie bez postaci Fryderyka. Najlepiej, aby było współczesne, wtedy można mieć większą swobodę w konstruowaniu scenografii i kostiumów.

Inspiracją do stworzenia postaci stała się moja przygoda z Nohant. Młoda dziennikarka z Polski, zafascynowana Chopinem jedzie do Francji i tam spotyka

starszą od siebie, doświadczoną francuską pisarkę zajmującą się losami romantycznej pary. Z rozmowy dwóch kobiet wyłania się postać Chopina z punktu widzenia zarówno Polki, jak i Francuzki. To miała być oś spektaklu. Do tego poezja chopinowska, dużo muzyki zaaranżowanej przez Jerzego Boskiego i obraz, jakże ważny w przedstawieniu – przenikające się slajdy, na których widać Żelazową Wolę, portrety rodziców małego Frycka, obrazy Mazowsza, nuty, rękopisy listów, a potem Nohant, słynny obraz Delacroix itd. W miarę pracy nad tekstem postać dziennikarki została zamieniona na fikcyjną panią kustosz muzeum w Żelazowej Woli. Dawało to możliwość stworzenia sceny „oprowadzania gości” i opowiedzenia historii dzieciństwa oraz młodości późniejszego kompozytora.



Maria w kreowaniu obrazu i budowaniu napięcia teatralnego jest nieoceniona. Układ scen i rozpisanie na role przychodzi z czasem, w wyniku długiego poszukiwania właściwej drogi.

W spektaklu Maria wciela się w rolę autentycznej postaci Sylvie Delaique-Moins. Wymienione są tytuły jej książek i pokazane okładki na slajdach. Kiedyś w ferworze przygotowań do prapremiery Maria zadzwoniła do mnie i zapytała:

– Powiedz mi szybko, jak ja się nazywam?

Zaniemówiłam. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że chodzi o francuską pisarkę.

W tekście obok Nohant pojawia się pobliskie La Châtre, jest też scena opisująca poszukiwania Claude’a Moinsa i historia związana z rekonstrukcją obrazu Delacroix, zaczerpnięte z mojej chopinowskiej przygody.

W przedstawieniu równie ważną rolę odgrywają słowo, muzyka, jak i obraz. Powstało widowisko działające na emocje widza i przekazujące bardzo duży zasób informacji biograficznych na tle epoki. Wrażenie wywołuje dynamiczny wiersz Or-Ota (Artura Oppmana), pokazujący nastroje podczas powstania listopadowego, który mówią na zmianę obydwie kobiety – przewodniczki po życiu Chopina. Jest też lirycznie i romantycznie, są emocjonalne burze, które przytaczają na scenie Polka i Francuzka czytając dziewiętnastowieczne listy oraz ponadczasowa chopinowska muzyka. I mimo że na scenie są dwie współczesne kobiety, a Chopin pojawia się tylko jako głos z oddali, przybliżone zostają zarówno losy kompozytora, jak i jego osobowość.

### ***Pisarka:***

*Chopin wszedł. W lamp półcieniu dziwny jak zjawisko,*

*Nad rebusem klawiszów pochylił się nisko...*

*W niemą salę padł pierwszy dźwięk. Improwizuje.*

*On oczy ma zamknięte. Lecz nie gra. Maluje.*

*Przypomniął jakiś obraz: wieś w gruszkowych sadach,*

*Bose dzieci na progach, malwy na lewadach,*

*Roześmianą dziewczynę w kalinowym wianku,*

*Rozedrgany graniem dzwonek w różowym poranku;*

*Barwy mu dnia i zmierzchu wiążą się pod ręką –*

*I widok, jakby wstążką, owinął piosenką.*

*Dziwna piosenka, wszystkim słuchaczom przyjemna,*

*(...)*

*A on odjął na chwilę palce od klawiszy:*

*Skupia się. Na coś czeka. Czegoś słucha w ciszy,*

*I nagle: podniósł ręce, jakby cios wymierzył,*

*I w zmartwiałe klawisze, jak burzą, uderzył,*

*I wydarł z nich melodię tak straszliwej mocy,*

*Jak baterie piorunów bijących wśród nocy,*

*I taka stal pod ręką zadźwiegła mu twarda,*

*Aż się wzdrygnął i zachnął fortepian Erarda.*

Spektakl kończy się powrotem do Żelazowej Woli, powraca głos Chopina, odbijający się echem od ścian dworku, powtarza się melodia wiersza Gałczyńskiego.

### ***Pisarka:***

*Dobry wieczór, monsieur Chopin,*

*Jak pan tutaj dostał się?*

### ***Głos Chopina:***

*Ja przelotem z gwiazdki tej.*

*Być na ziemi to mi lżej:*

*stary szpinet, stary dwór,  
ja mam tutaj coś w C-dur,  
(taką drobnostkę, proszę pani),  
w starych nutach stary śpiew,  
jesień, leci liście z drzew.*

***Pisarka:***

*Pan odchodzi? Hm. To żal.*

*Matko Boska, w taką dal!*

*Rękawiczki. Merci bien.*

***Pisarka i Kustosz:***

*Bon soir, monsieur Chopin.*

*Na finał brzmi Polonez As-dur op. 53.*

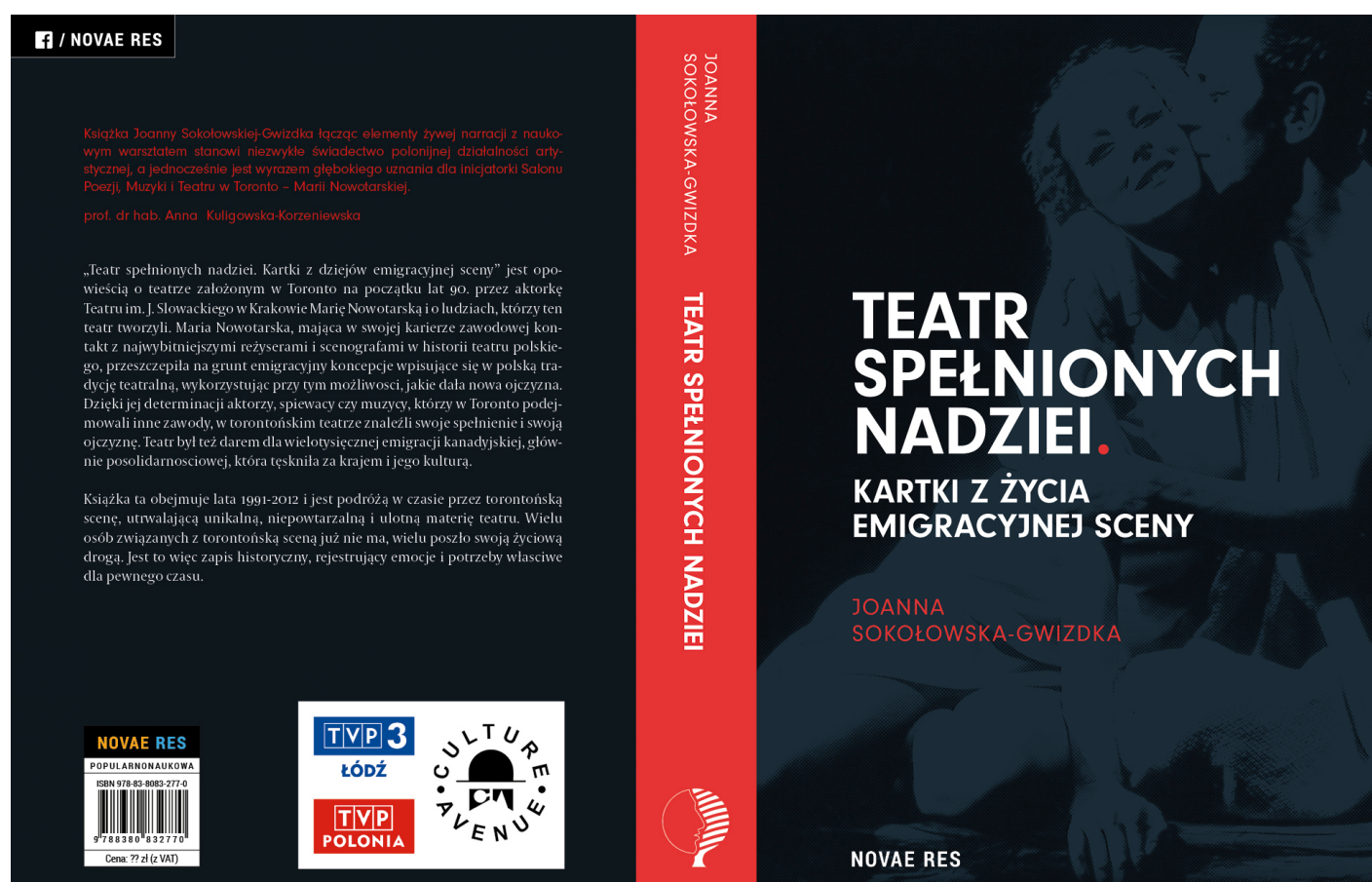


***Dobry wieczór, Monsieur Chopin, scenariusz: Maria Nowotarska, Joanna Sokołowska-Gwizdka, reżyseria: Maria Nowotarska, wykonawcy: Maria Nowotarska i Agata Pilitowska oraz Piotr Pilitowski (głos Chopina), opracowanie muzyczne Jerzy Boski, scenografia Jerzy i Michał Monka, zdjęcia Adam Orzechowski, montaż dźwięku i obrazu Leonard Gawęł***

„Nomados”, tłumaczenie portugalskie prof. Mariano Kawka z Uniwersytetu w Kurytybie, tłumaczenie angielskie Witold Liliental, tłumaczenie francuskie Alina Nitka (Paryż), prapremiera sierpień 2010, São Paulo, Brazylia, premiera torontońska 17.02.2010, Living Arts Centre, Mississauga.

*Kolejny fragment książki ukaże się w poniedziałek 28 listopada.*

**Książka jest publikacją multimedialną. Pod spisem fotografii został wydrukowany link i QR code, który przekierowuje czytelnika na stronę internetową, gdzie znajduje się galeria kolorowych fotografii w wysokiej rozdzielczości.**



**Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych.**

**Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę i przyjmuje karty kredytowe.**

<http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/>

## Inne księgarnie:

[http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr\\_spelnionych\\_nadziei\\_kartki\\_z\\_zycia,druk](http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr_spelnionych_nadziei_kartki_z_zycia,druk)

<http://lubimyczytac.pl/ksiazka/3952985/teatr-spelnionych-nadziei-kartki-z-zycia-emigracyjnej-sceny>

<https://aksiazka.pl/produkt-302969,teatr-spelnionych-nadziei>

---

# Zbyt daleko, żeby się przejmować? - Wywiad z Nicholasem Kristofem.

*Wywiad na prawach wyłączności z Nicholasem Kristofem, dziennikarzem z New York Timesa, dwukrotnym laureatem Nagrody Pulitzera, wyróżnionym w 2016 r. nagrodą „Spirit of Jan Karski Award”.*

*Bożena U. Zaremba*



Nicolas Kristof podczas pracy reporterskiej.

**Bożena U. Zaremba:** Znane powiedzenie, że śmierć jednostki jest tragedią, ale śmierć miliona to tylko statystyka, jest dzisiaj szczególnie aktualne. W jednym ze swoich ostatnich artykułów porównał Pan syryjską dziewczynkę do Anny Frank, tak jakby chciał Pan nadać kryzysowi w Syrii „twarz”. Uważa Pan, że „twarz” jest niezbędna, żeby ludzie zareagowali?

**Nicholas Kristof:** Myślę, że tak. W moich artykułach, szczególnie z Darfuru, byłem tak sfrustrowany brakiem reakcji, że zacząłem zgłębiać prace psychologów społecznych, szczególnie profesora Paula Slovic. Badał on przyczyny ludzkiej empatii i jeden z jego wniosków był taki, że czujemy współczucie nie do grup ludzi, ale do jednostek i reagujemy bardziej na historię jednostki. Doprowadziło mnie to do stworzenia „klucza” do empatii w stosunku do światowych problemów. I tego klucza staram się używać w moich artykułach i książkach.

**BUZ:** Myśli Pan, że wojna w Syrii i kryzys uchodźczy są teraz najbardziej palącą kwestią?

**NK:** Jest wiele naglających spraw i nie lubię, kiedy wymaga się ode mnie ich

wartościowania, jednak na pewno jest to jeden z głównych problemów. Na całym świecie jest ponad 60 milionów uchodźców i migrantów; wojna w Syrii pochłonęła do tej pory około 470 tysięcy ofiar i liczba ta wciąż rośnie. Niestety, jest wiele innych globalnych problemów, które nas zajmują i które szczególnie leżą mi na sercu – ocieplenie klimatu, rozwijający się konflikt w Sudanie Południowym, prawa kobiet czy wyzysk w celach seksualnych.

**BUZ:** Czyż nie jest to przytłaczające? W innym artykule stwierdził Pan, że bardziej przejmujemy się śmiercią psa niż człowieka. Czy całkowicie utraciliśmy już zdolność współczucia? Wydaje się, że znajdujemy się w kryzysie, także, jeżeli chodzi i o tę kwestię.

**NK:** Ludzie rzeczywiście czują się przytłoczeni skalą globalnych problemów, z którymi musimy się dzisiaj zmierzyć, jednak myślę, że ma to związek z tendencją do zdystansowania się do cierpienia na dużą skalę. Każda pojedyncza reakcja na tragedię jest tylko kroplą w morzu potrzeb, jednak twierdzę, że każda pojedyncza kropla ma znaczenie. Być może nie jesteśmy w stanie pomóc 60 milionom przesiedlonych ludzi, ale z łatwością możemy pomóc jednej rodzinie, która straciła swój dom i walczy o przetrwanie. Z punktu widzenia tej rodziny jej przypadek jest do rozwiązania. Najlepszym przykładem jest historia mojej własnej rodziny.

**BUZ:** Pański ojciec był uchodźcą, prawda?

**NK:** Zgadza się. Został przyjęty do USA, [jako uchodźca] w 1951 r., co całkowicie odmieniło jego los. A także mój własny. Prawdziwe nazwisko mojego ojca brzmiało Krzysztofowicz. Razem ze swoją rodziną, mój ojciec działał [podczas II wojny światowej] w polskim podziemiu, na szlaku kurierskim. Mojego krewnego Niemcy złapali na gorącym uczynku z mikrofilmami, w naszym majątku przy granicy polsko-rumuńskiej. Inni członkowie mojej rodziny byli pojmani po polskiej stronie i zostali przewiezieni do Auschwitz, gdzie zostali zamordowani. Natomiast mój ojciec wraz kilkoma osobami został schwytany w Rumunii, gdzie Niemcy mieli silne wpływy, ale nie mieli pełnej kontroli. Moja rodzina zapłaciła dużą łapówkę, aby go wypuszczono, ale jeden kuzyn pozostał w więzieniu do czasu, aż Rumunia przeszła na drugą stronę. Kiedy świętował koniec wojny [podczas mszy] w kościele, Sowietci aresztowali go, bo podejrzewali, że jest szpiegiem polskiego wolnego rządu. Był za bardzo prozachodni.

Zesłano go na Syberię, gdzie zmarł w gułagu. Zobaczyłem, więc, jakie koszty poniosła moja własna rodzina w związku z działaniami wojennymi.

**BUZ:** Czy te doświadczenia miały wpływ na Pańskie poglądy?

**NK:** Niewątpliwie. Historia mojego ojca na pewno pomogła ukształtować mój pogląd w sprawie uchodźców i uwrażliwiła mnie na ich tragiczne losy. To jeden z powodów, dlaczego tak żarliwie zajmuję się tą kwestią.

**BUZ:** Jakie według Pana są obowiązki dziennikarza? Zdać raport czy może coś więcej? Podnosić świadomość społeczną, wpływać na opinię czy pobudzać do działania?

**NK:** Myślę, że wielu z nas zostało dziennikarzami w nadziei, że nasz głos będzie się liczyć. Wydaje mi się, że kiedy tylko informujemy o życiu celebrytów czy o bieżących wydarzeniach politycznych tracimy ważną część tego, czym powinno być dziennikarstwo. Dziennikarstwo może świetnie wpisać zapomniane kwestie do codziennej agendy; kiedy jakaś kwestia nie przykuwa wystarczającej uwagi, możemy ją naświetlić. Można by więc powiedzieć, że zajmujemy się „biznesem oświeceniowym”.

**BUZ:** Czy czuje się Pan w obowiązku w ten właśnie sposób podchodzić do swojego dziennikarstwa?

**NK:** Tak, chociaż poświęcenie uwagi danej kwestii nie gwarantuje, że pociągnie to za sobą jakieś działanie, czego doświadczył Jan Karski. Ale na pewno jest to niezbędny krok.

**BUZ:** Informacja o traktowaniu Żydów w czasie II wojny światowej pojawiła się na ostatniej stronie New York Timesa i niektórzy ludzie twierdzą, że jeśli Facebook istniałby w czasie wojny, to Holokaust nigdy nie miałby miejsca. Podpisuje się Pan pod tym stwierdzeniem?

**NK:** Byłbym ostrożny w formułowaniu takich stwierdzeń – pół miliona Syryjczyków zostało zabitych i mimo, że mamy Facebooka, świat praktycznie pominął to milczeniem. Zgadza się z tym, że media społecznościowe, zdjęcia i nagrania przybliżają nam cierpienia z odległych krajów, przez co trochę trudniej je

zignorować, jednak, jako ludzie mamy niezwykłą zdolność do odwracania wzroku w sytuacji, gdy naprawdę nie wiemy, co zrobić, kiedy pojawiają się ofiary. Mówimy wtedy, że „to są Żydzi” albo „to są Syryjczycy” – „oni są od nas odmienni”. Więc być może media społecznościowe pomogłyby w czasie II wojny światowej, ale nie podejrzewam, żeby końcowy efekt był znacząco inny.

**BUZ:** Podobno zainspirował Pan Melinę i Billa Gatesa do skoncentrowania się w ich pracy charytatywnej na światowych problemach zdrowia publicznego. Co uważa Pan jak dotąd za największe osiągnięcie swojego dziennikarstwa w zachęcaniu ludzi do działania?

**NK:** Jest kilka takich spraw, na które pomogłem (wraz z innymi) zwrócić więcej uwagi i coś zmienić. Jedną z nich jest Darfur, inną handel kobietami na całym świecie, a także prawdopodobnie zdrowie reprodukcyjne, a szczególnie problem przetoki pochwowej. W każdym z tych przykładów ofiary przyciągają coraz więcej zainteresowania i środków.

**BUZ:** Napisał Pan wiele książek, między innymi „China Wakes” „Half the Sky” i „A Path Appears” razem ze swoją żoną Sheryl WuDunn. Wyobrażam sobie, że współpraca ze współmałżonkiem może być wyzwaniem.

**NK:** Ludzie często pytają, jak nam się udaje razem pisać książki i dalej być małżeństwem [śmiech]. Prawda jest taka, że jeżeli ma się troje dzieci i jest się w stanie razem je wychowywać, wtedy napisanie razem książki to bułka z masłem [śmiech]. Sheryl jest naprawdę wspaniałą pisarką i świetnie redaguje teksty.

**BUZ:** W jakich okolicznościach po raz pierwszy usłyszał Pan o Karskim?

**NK:** Miałem bardzo mgliste pojęcie o Karskim, ale książka Samantha Power „A Problem from Hell”, w której jest mowa o Karskim, uświadomiła mi, czego dokonał. Zaangażowanie w polskie podziemie rodziny mojego ojca w pewien sposób też mnie do niego zbliżyło.

**BUZ:** Dlaczego jest on tak ważną postacią?

**NK:** Z powodu spraw, którymi zajmował się przez całe życie i z którymi my również cały czas musimy się mierzyć; w jaki sposób my, jako społeczeństwo reagujemy na

prześladowania i cierpienie w odległych krańcach świata. Są takie niezwykle postaci w polskim ruchu oporu, jak Jan Karski i Witold Pilecki, których dokonania są po prostu zadziwiające. Oni poświęcili tak dużo i starali się wykrzyczeć całemu światu „Zwróć uwagę!” Ale świat pozostał niewzruszony. Dzisiaj mamy innych „Karskich”, którzy próbują robić to samo, wyeksponować pewne problemy, co sprawia, że Jan Karski jest ciągle aktualny.

**BUZ:** W co Karski byłby dzisiaj zaangażowany gdyby żył? O co by się troszczył?

**NK:** Myślę, że kryzys uchodźczy zajmowałby wysoką pozycję na liście spraw, którymi by się zajmował. Od czasów II wojny światowej nie widzieliśmy tak wielu ludzi w stanie desperacji, opuszczających swoje domy, ryzykujących swoje życie w nadziei na poprawę losu. I znowu nikt nie działa dostatecznie zdecydowanie, aby odpowiedzieć na ich potrzeby. Chodzi mi nie tylko o ich przyjęcie, ale również o poradenie sobie z przyczynami, przez które ci ludzie tracą swoje domy, co koniec końców jest odpowiednią drogą do rozwiązania ich problemów.

**BUZ:** Myśli Pan, że popularyzacja spuścizny Karskiego może pomóc rozwiązać dzisiejsze problemy i konflikty?

**NK:** Tak, myślę, że historia Karskiego jest tak uniwersalna, że także dzisiaj ukazuje nam właściwe wzorce postępowania. Karski jest niezwykle przykładem odwagi i determinacji, więc może służyć, jako inspiracja nie tylko do empatii, ale także do podjęcia akcji w imieniu tych, którzy tego potrzebują.

*Uroczystość wręczenia „The Spirit of Jan Karski Award” odbyła się we wtorek, 1 listopada o 18:30 w The New School w Nowym Jorku.*

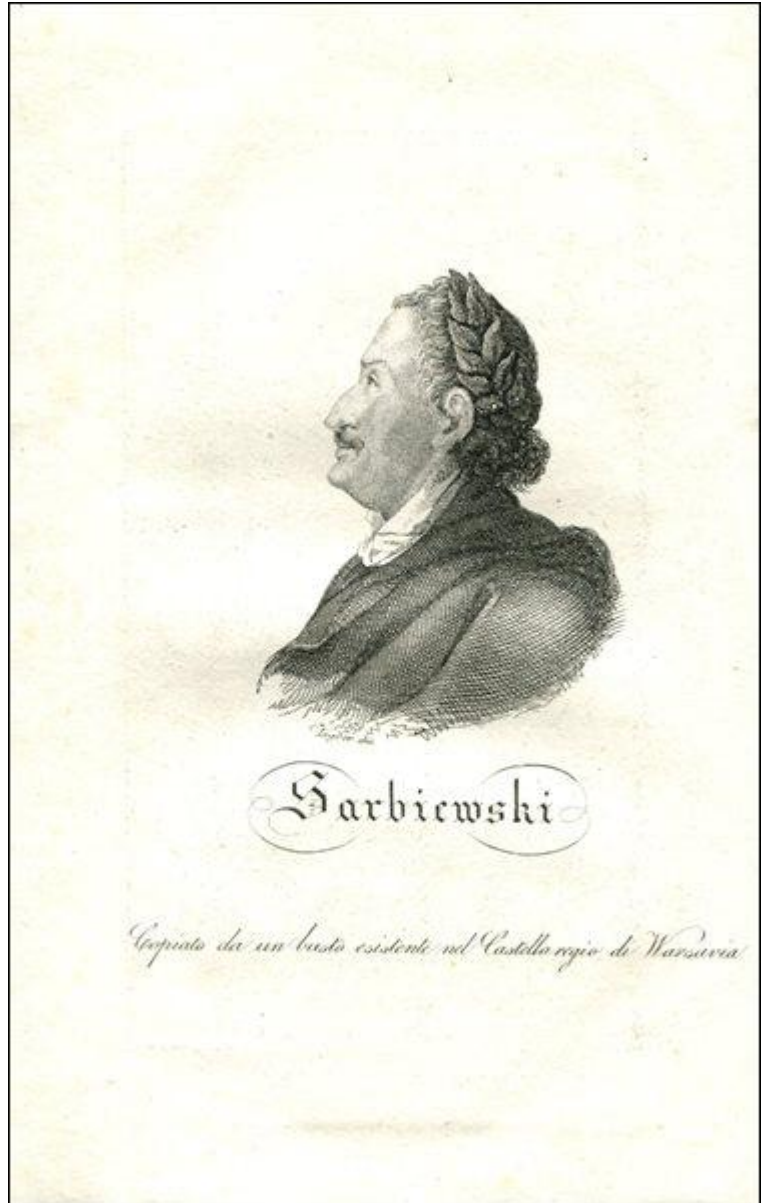
<http://www.jankarski.net>

---

# Sarbiewski - pierwszy prawdziwie europejski poeta

**Romuald Mieczkowski**

Litwa i Polska są członkami Wspólnoty Europejskiej. Czy jednak dopiero w maju 2004 roku znaleźliśmy się w Europie? Co stanowi naszą największą wartość w dobie historycznego otwarcia się granic i nowych możliwości? – te kwestie wciąż godne są rozważenia.

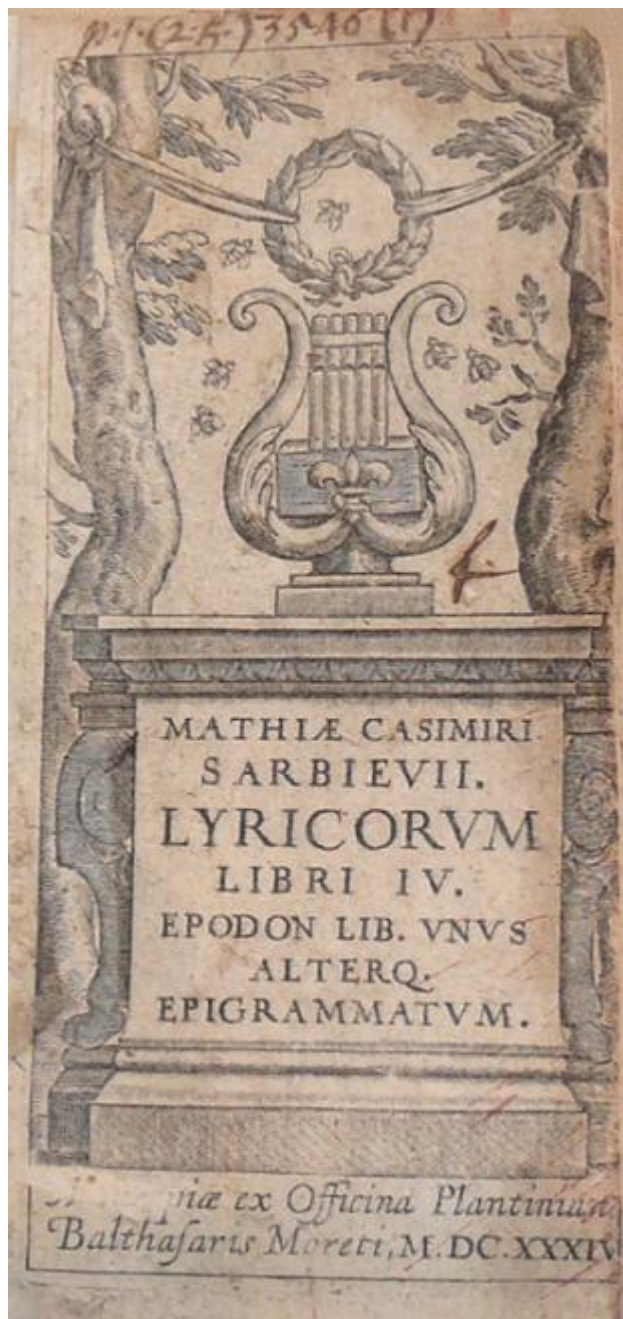


Dowodem tego, że nie dopiero teraz, lecz znacznie wcześniej nasi ludzie, przedstawiciele nauki i sztuki, byli znani w krajach Europy Zachodniej jest osoba Macieja Kazimierza Sarbiewskiego, urodzonego w 1595 roku na Mazowszu, w Sarbiewie niedaleko Płońsk i zmarłego w 1640 w Warszawie, poety i teoretyka

literatury, najpopularniejszego przed Sienkiewiczem autora polskiego. Uczył się w kolegium jezuickim w Pułtusk, w 1612 roku wstąpił do nowicjatu Towarzystwa Jezusowego w Wilnie, potem studiował w Collegium SJ Braniewie, wykładał jako magister poetyki i syntaksy (składni) w kolegiach jezuickich w Krożach (Kražiai) na Żmudzi i jako wykładowca retoryki w Połocku, następnie studiował w Akademii Wileńskiej teologię. Dalsze studia - w Rzymie i Collegium Germanum.

Debiutował w roku 1619. Jego twórczość, pisana po łacinie (co wówczas niejako odpowiadało dzisiejszemu statusowi języka angielskiego w międzynarodowym komunikowaniu się) była znana daleko poza granicami Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wiersze jezuita Sarbieviusa czy Casimire o Matce Boskiej Trockiej (*Cztery mile Najświętszej Panny, czyli publiczna uroczysta procesja do kościoła Najświętszej Panny w Trokach*), napisane w Wilnie, wydane zostały w Antwerpii, kiedy ich autor przebywał we Włoszech, w Rzymie. W 1623 roku podbił swą twórczością Wieczne Miasto, dostał złoty medalion i został uwieńczony poetyckim wieńcem laurowym przez papieża Urbana VII, który jako humanista i sam poeta, należał do wielbicieli Sarbiewskiego. W 1625 roku jego pieśni zostały wydane w Kolonii. Sporo utworów poświęcił Wielkiemu Księstwu Litewskiemu i jego ludziom, Wilnu poświęcił odeę. Był przywiązany do tej Ziemi, od niego można wywodzić dzisiejsze pojęcie „Małej Ojczyzny”. Do wielu wierszy Sarbiewskiego dorabiano melodie.

Po powrocie, w 1626 roku, podjął pracę w Collegium SJ w Połocku, zaś w 1628 powrócił do Wilna, gdzie prowadził wykłady z zakresu filozofii i teologii, w tymże roku ukazuje się jego *Lyricorum*, zaś po dwóch latach w Antwerpii, z późniejszym wznowieniem. Był świetnie wykształcony, znał prócz łaciny dobrze włoski, francuski, grekę, grał na wielu instrumentach - na klawesynie, cytrze, harfie...



Zyskał sławę i przydomek Horacego Chrześcijaństwa i Horacego Sarmackiego, a to dzięki mistrzowskiemu opanowaniu formy horacjańskiej, głównie w odach i epigramach, dzięki której w poezji przedstawiał swą wizję świata (*Lyricorum libri IV*, 1632, z winietą zaprojektowaną przez samego Rubensa, miały około sześćdziesiąt wydań w różnych krajach Europy, były przekładane i naśladowane w Niderlandach, Anglii i Francji!). Był najbardziej "barokowym" przedstawicielem naszej literatury na świecie.

W latach 1633-1655 pełnił obowiązki dziekana Wydziału Filozofii i Teologii Akademii Wileńskiej, tutaj otrzymał doktorat. Od 1635 roku - nadworny kaznodzieja Władysława IV.

Sarbievius w swych pracach teoretycznoliterackich sformułował program literatury baroku - z uwzględnieniem piękna przyrody i codziennego bytu z biblijnymi wątkami (*De perfecta poesi - O poezji doskonałej*, w zbiorze *Wykłady z poetyki, Poemata omnia*). Po raz pierwszy jego twórczość szerzej zaistniała po polsku w *Przekładach polsko-łacińskich epoki Zygmuntowskiej* (t. 4-5, 1851). Do poezji Sarbiewskiego

nawiązywał Adam Mickiewicz – takie paralele można znaleźć bardzo często w Panu Tadeuszu, cenił go Władysław Syrokomla, który pisał:

*W takiej chwili, kiedy sumiennie mówiąc, nie mieliśmy i nie mogliśmy mieć w kraju ani jednego prawdziwego poety, zagrzemiał z Rzymu po Europie głos łacińskiej pieśni Polaka i jezuitę Sarbiewskiego.*

Zachwycił się nim Józef Ignacy Kraszewski. Ta niezwykle barwna postać jest wciąż mało znana i potrzebuje znaczniejszego upowszechnienia. Tym bardziej w dobie obecnej, gdy mówimy o związkach z kulturą europejską.

*(...) poezja Sarbiewskiego dokonuje rzeczy niezwykłej: podkreślając zmysłowość świata, zarazem – wyzwala nas od niej, więcej: wyzwala nas od lęku przed śmiercią. Poeta nie twierdzi, że śmierć nie jest dramatem, on tylko pokazuje, że można go zniwelować, gdy odrzucimy strach, a podniesiemy na drugą stronę swą tęsknotę do piękna i prawdy*

– napisał wybitny znawca twórczości Sarbiewskiego, prof. Jakub Zdzisław Lichański we wstępie do *Poezji wybranych* (1986).

W innym miejscu (w *Nauce z poezji Macieja Kazimierza Sarbiewskiego SJ*, 1995) czytamy piękne stwierdzenie tegoż autora:

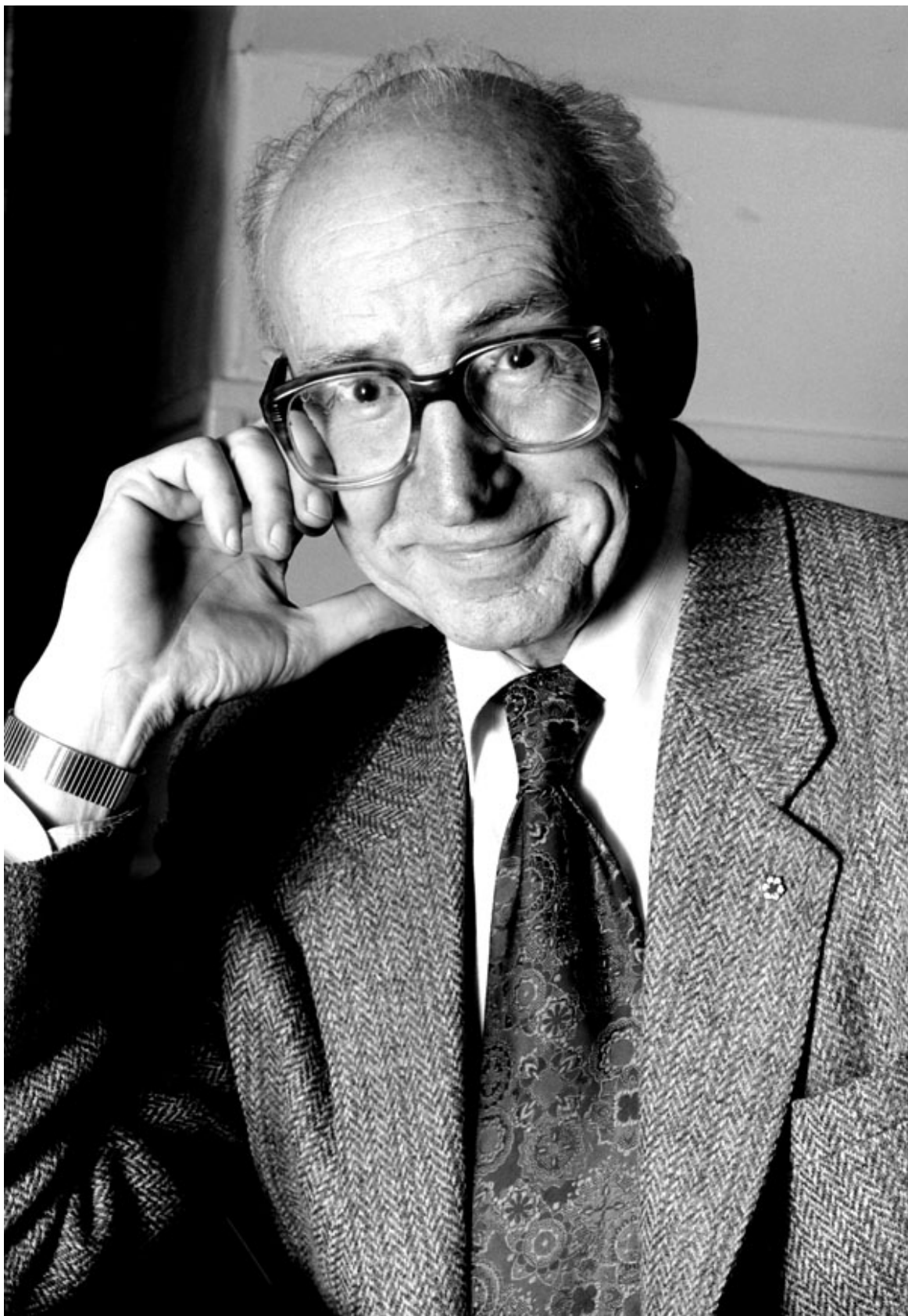
*Poezja Sarbiewskiego, mimo że oddzielają nas od niej dwie bariery: czasu i języka, jest dla nas bardzo ważna. Przede wszystkim przypomina o wartościach, które są fundamentem kultury europejskiej. Tkwią one nie tylko w antyku i chrześcijaństwie, ale i w tradycjach narodowych. Musimy do nich stale sięgać; muszą one być dla nas siłą tworzącą; budującą przyszłość.*

Natomiast noblista – Czesław Miłosz w „Historii literatury polskiej do roku 1939” stwierdza:

*Sarbiewski doprowadził mającą długą tradycję poezję łacińską w Polsce do perfekcji i aż do dziś żaden poeta polski nie zyskał takiej sławy za granicą, jak Sarbiewski za życia i w okresie paru dziesięcioleci bezpośrednio po śmierci.*

---

**Louis Dudek - poeta montrealiski  
(1918-2001).**



Louis Dudek

**Florian Śmieja**

“Wkład Dudka do literatury kanadyjskiej był ogromny”, zanotował Robin Blaser. Zaden Kanadyjczyk polskiego pochodzenia nie przyczynił się do jej rozwoju bardziej od wpływowego i dynamicznego profesora uniwersytetu McGill, poety, krytyka, wydawcy i pedagoga.

Louis Dudek urodził się w ubogiej, przemysłowej dzielnicy Montrealu 6 lutego 1918 roku. Jego ojciec Wincenty przybył z Polski rok wcześniej i z powodu trudności językowych nie mógł znaleźć dobrej pracy, a matka, Stanisława Różańska, zmarła osierocając dwie córki oraz chorowitego syna, kiedy liczył osiem lat. Rodzimą tradycję kontynuowała sprowadzona z Polski ciotka. W katolickim domu czytano polskie książki i uczono tekstów poetów polskich na pamięć, szczególnie Juliusza Słowackiego, którego nieraz za karę, jak wspominał Dudek, musiał się uczyć. Od najmłodszych lat miał on do czynienia z mową wiązaną, a nawet brał udział w poetyckim konkursie marząc, by zostać poetą.

Wczesnie zarzucił kontakty z grupą polskich emigrantów w Montrealu i wszedł w szersze środowisko kanadyjskie. Co było powodem odejścia, nie wiemy. Bardziej niż rodacy pociągali go intelektualiści i poeci bez względu na ich pochodzenie.

Czuł się człowiekiem bez przydziału do określonej grupy społecznej, najlepszych przyjaciół znalazł wśród bohemy, w końcu stał się nacjonalistą literackim, jak go określił Michael Gnarowski, jeden z jego późniejszych współpracowników o podobnym rodowodzie.

Ponoć po wczesnym spotkaniu z polską literaturą stracił z nią kontakt. No, może po zdobyciu Nobla przez Miłosza znów się o niej dowiedział. Trochę to dziwne, gdyż w domu, w polskiej szkole i kościele miał okazję do chłonięcia polskiej atmosfery szczególnie, że ojciec odgrywał ważną rolę w lokalnej polskiej społeczności a syn miał polskich kolegów zastąpionych później przez francuskich, a ostatecznie przez anglofonów.

Będąc jeszcze dzieckiem czytał “Pana Tadeusza”, „Trylogię” i Słowackiego. Oglądał polskie przedstawienia teatralne, lubił polską muzykę popularną i kolędy, obchodził tradycyjne święta. Trudno mu było później określić wpływ polskiego środowiska na swoją angielską twórczość.

Kto wie, czy odstraszył go wąski nacjonalizm, który uważał za niepożądany, za powiększanie naszego indywidualnego ego poprzez grupową identyfikację. Był zdania, że tylko miernota jest przesadnie nacjonalistyczna, że wielcy ludzie byli obywatelami świata. Wolał samotność od chodzenia w gromadzie. Nacjonalizm był w najlepszym razie laicką formą religijnego idealizmu. Prawdziwą wartość widział w osobowości i pojedynczym człowieku. Nie uważał patriotycznej poezji za prawdziwie wielką, był przekonany, że poeta pisze przede wszystkim o tym, co kocha, czego doświadcza i co doskonali, że idee są słabą pożywką dla poety. Współczesnej poezji, sądził, nie interesuje kolektyw, a tylko jednostka.

Wychowany w polskości cenił bezpośredniość odczuć, otwartość na świat ale także jego obcość. Przyznał, że uważał za polskie dziedzictwo melancholię, uwrażliwienie, liryzm i refleksję, zmienność odczuć, religijne zainteresowania, racjonalizm, radykalizm i niecierpliwość.

Język polski z czasem zaczął w jego życiu ustępować bardziej atrakcyjnemu i ważnemu językowi angielskiemu. W konsekwencji tej fascynacji Dudek zapisał się na anglojęzyczny uniwersytet Mc Gill i uzyskał licencjat z filologii angielskiej i historii.

Po skończeniu studiów miał się różnych zajęć dorywczych związanych z reklamą a jednocześnie poznał młodych poetów kanadyjskich jak John Sutherland, Irving Layton i Raymond Souster, z którymi miał w przyszłości ściśle współpracować. Jałowe zajęcie zawodowe wnet mu się sprzykrzyło, tak że je porzucił i wyjechał do Nowego Jorku, by podjąć pracę i dalsze studia na uniwersytecie Columbia. Tam wszedł w kontakt z amerykańskimi poetami z Ezrą Poundem na czele. Odwiedzał go w szpitalu, w którym go zamknięto, a nawet pomógł w staraniach o zwolnienie go stamtąd. Potem prowadził z nim ożywioną korespondencję i pisał poezję pod jego urokiem.

Macierzysta uczelnia McGill zaprosiła wówczas Dudka do zakładu filologii angielskiej, w którym zaczął pracować jako asystent w 1951 roku i z czasem stał się jednym z najbardziej popularnych i lubianych wykładowców. Nie zaprzestał jednak pracy wydawniczej i wraz z Sousterem zaczął publikować czasopismo "Contact" a kiedy dołączył Irving Layton, powstało wydawnictwo "Contact Press". Przez lat piętnaście ten dom wydawniczy wypuszczał długą serię wybitnych tomów

poetyckich. Wtedy też Dudek drukował własne utwory łącznie z obszernymi poematami eksperymentalnymi,

W latach 1957-66 kierował pismem "Delta" starając się zapełnić je treścią kanadyjską zgodnie z przesłaniem, że poezja musi powstawać w społeczeństwie i wpływać na jego akcje. Spośród poetów, których wylansował wtedy był Leonard Cohen, którego debiut "Let Us Compare Mythologies" rozpoczął poczet nowych poetów kanadyjskich. W 1970 zainicjował wydawnictwo "DC Books".

Mieszkająca wtedy w Montrealu Ewa Stachniak opracowywała audycje polskie dla radia. Zdołała ona nakłonić Dudka, aby nie tylko wystąpił w programie i opowiedział o swoich dokonaniach, ale żeby przemówił do polskich słuchaczy po polsku. Bronił się, tłumacząc że nie znał już dobrze języka, ale w końcu się zgodził i audycja wypadła doskonale. Pamiętny wywiad radiowy ilustrowały moje przekłady dwu jego wierszy, które autorowi się spodobały i pamiętał o nich, kiedy go odwiedziłem w jego profesorskim pokoju w Montrealu. No, ale on słynął z ogromnej uprzejmości i wspaniałomyślności.

Należy może w tym miejscu przypomnieć, że trzy liryki Dudka w swoim przekładzie i z towarzyszącą notą ogłosił w paryskiej "Kulturze" (nr 157-158, 1960) Jerzy Niemojowski, emigracyjny poeta mieszkający w Londynie i wielki zwolennik poezji Ezry Pounda. Pracował on dorywczo w drukarni Oficyny Poetów i Malarzy Krystyny i Czesława Bednarczyków, która wydrukowała trzy tomy poezji Dudka: poemat "Europe" z ilustracjami Krystyny Sadowskiej w 1954 roku, "The Transparent Sea" w 1956 oraz "En Mexico" w 1958 z rysunkami Zygmunta Turkiewicza

Dla mnie nie ulega wątpliwości, że to jednak polskie pochodzenie i związane z nim kultywowanie w domu literatury, a później przykłady wybitnych poetów takich jak Miłosz, utwierdziły Dudka w przekonaniu, że należało coś zrobić, żeby również społeczeństwo amerykańskie i kanadyjskie wspomóc w jego walce o zachowanie wartości kulturalnych, żeby przetrwała poezja i literatura, aby nie pozwolić na ich eliminację przez komercję, by nie były na tym kontynencie tylko towarem. Wspominał, że już jako siedemnastoletni chłopak zauważył nieobecność literatury, a przynajmniej jej niską wartość. To kazało mu o nią walczyć, tak że w konsekwencji całe późniejsze życie profesora, krytyka i pisarza temu zagadnieniu poświęcił, aby

przywrócić jej prymat i godne miejsce w cywilizacji.



Poeci montrealscy: od lewej Irving Layton (1912-2006), Frank R. Scott (1899-1985) i Louis Dudek (1918-2001).

Przy tym był realistą. Rozumiał, że nie wszystko da się uratować, że trzeba się liczyć ze stratami. Wziąłem udział w 1984 roku w ogólnokrajowej konferencji w Ottawie poświęconej językowi, kulturze i tożsamości w Kanadzie. Uczestniczył w niej także Louis Dudek. Wypowiadał się na temat literatur tworzonych na ziemiach Kanady w językach innych niż angielski i francuski, w tzw. językach trzecich, nieoficjalnych, mylnie nazywanych językami etnicznymi. Jego zdaniem, niektóre wybitne jednostki, które emigrowały do Kanady, stanowiły wyjątki przynależały bowiem bezspornie do swojej macierzystej kultury, natomiast przesadzone całe grupy przypominały mu rośliny w doniczkach, rosnące nienaturalnie, będące nie na swoich miejscach. Im

nie wróżył rozwoju ale stopniowy uwiąd. Bo choć Kanada sama też przybyła z Europy, to poprzez kilka stuleci wytworzyła dwa odrębne, ale silne nurty literatury, które się z czasem samookreśliły, a ostatnimi czasy pozyskały również inne dopływy. Taką pierwszą odmienną grupę stanowili pisarze żydowskiego pochodzenia jak Klein, Layton, Richler czy Cohen, którzy zaczęli odgrywać ważną rolę na narodowej scenie. Zdaniem Dudka etniczne kultury zakorzeniają się dopiero wtedy, gdy stają się częścią kanadyjskiego nurtu i uczestniczą znacząco w jego artystycznym rozwoju. Warunkiem niezbędnym jednak jest przyswojenie sobie jednego z oficjalnych języków.

Wysiłek intelektualny i artystyczny tzw. nowych Kanadyjczyków, imigrantów bez filiacji brytyjskiej czy francuskiej, na niewiele by się zdał, gdyby nie potrafili, jak Dudek, opanować mistrzowsko jednego z panujących języków, w jego wypadku, angielskiego. To dzięki niemu mógł on efektywnie polemizować, nie podzielać technologicznego optymizmu Marshalla McLuhana i jego najnowszej iluzji postępu, mógł się spektakularnie nie zgadzać z ewolucją platońskich konwencji uniwersalnej mitologii literatury Northropa Fry'a, potrafił gorliwie propagować literaturę kanadyjską tworzoną w języku angielskim i francuskim, żądał, by jej uczono w szkołach respektując obie tradycje. Biadał nad nieobecnością tego przedmiotu winiąc za ten stan rzeczy nauczycieli akademickich pochodzących z Wielkiej Brytanii i Francji a później Stanów Zjednoczonych. Perswadował, że to zaniedbanie świadczyło o kolonialnej mentalności i niewierze w dorosłość i kompetencję Kanadyjczyków.

Przestrzegał równocześnie przed szowinizmem narodowym, choć doceniał rolę poetów romantycznych, którzy w niektórych krajach spełniali konieczną funkcję społeczną (wymienił polskich wieszczów Mickiewicza i Słowackiego, pamiętanego zapewne z własnego dzieciństwa).

Zakończyła się druga wojna światowa po której na świecie nastąpiły wielkie przemiany społeczne. W Kanadzie odnowa kultury francuskiej i wzrost znaczenia różnych grup społecznych wyzwoliły witalność, która zdynamizowała piśmiennictwo kanadyjskie. Zachwiana została tradycyjna hegemonia klasy średniej, zamiast kultu ograniczonej narodowości wychynęła perspektywa szerszych horyzontów. Żyjąc w Quebecu Dudek był świadkiem niebywalej ewolucji świadomości jego mieszkańców. Francuska Kanada z kopciuszka i obywatela drugiej klasy, doczekała się fermentu

intelektualnego, który zadziwił swoją konstruktywnością i nowoczesnością. Nowe swobody i powszechne wzbogacenie wywołały euforię. Quebec udowodnił, że zdołał pokonać nie tylko rodzimą reakcję, ale także przeciwstawić się angielskiej Kanadzie, jako źródłu wszelkich swoich nieszczęść i problemów.

Jednak przed takim zawężeniem widzenia Dudek ostrzegał, przed dążeniem do konfliktu, utratą uświęconej energii na rzecz ciemnych sił mogących przynieść chaos. Uważał zabawy separatystów za igranie z ogniem. Wzywał do obrania innego kierunku i pielęgnowania wizji wielkiej Kanady, bogatej w dwa języki dające nieskończone możliwości artystycznego rozwoju.

„Zanieśmy bogi do nowego Lacjum” wołał. Ufał nowym, młodym pokoleniom, pełnym świeżej energii pozwalającej na rozsądzenie zmurszałych form. Prawdziwą drogę do wolności i ładu w przyszłości widział przy współudziale sztuki i poezji. Tylko wyobraźnia, odkrywanie istoty człowieka i jego relacji w świecie i wobec innych ludzi były, jego zdaniem, zdolne uratować przed zniewoleniem przez państwo, wyparciem przez maszynę i pogrążeniem w już się powszechnie szerzący upodlony tryb życia. Wzywał do przeciwstawienia się siłom niweczącym życie.

Dychotomia barbarzyństwa i cywilizacji pojawia się wśród jego częstych tematów. Poeta obawiał się zalewu pospolitości, która się wciska na każdym kroku w nasze gusta. Hołdujemy bieganiu za dobrami materialnymi zamiast walczyć o rolę sztuki. Zagroza nam barbarzyństwo. Nowy Świat może wypracować nową cywilizację lub stoczyć się w barbarzyństwo. Nowoczesna poezja może stać się barbarzyńska, albo dążyć do większej sublimacji, do pełniejszej ludzkości lub popaść w zdziczenie. Ostrzegał, że to, co się rodziło we współczesnej sztuce to, niestety, zbyt często krzyk, prowokacja, nienawiść, hałas, podczas kiedy cywilizacja zamiera, gdyż poniechała szukania ideałów ludzkich.

Już w 1946 roku Dudek wydrukował zbiór wierszy lirycznych „East of the City” poświęcony rodzinnemu miastu, ale dopiero doświadczenia amerykańskie i bliskie kontakty z Ezrą Poundem natchnęły go do napisania długich poematów, „Europe”, „En Mexico”, „Atlantis” i „Continuation”

Jego duży poemat „Europe”, składający się z 99 członów, jest Dudka fizyczną i artystyczną podróżą do korzeni, by rozliczyć się z domem i puścizną ojców. Poeta

jadąc do Europy pielgrzymuje do źródła cywilizacji, ogląda Anglię, Francję, Rzym i Grecję. Początkowe zachwycenie magicznym miejscem ulega wnet rozczarowaniu. Rzeczywistość ukazuje odmienną twarz. Przeziera ją znamiona upadku i rozkładu. Dzisiejsze życie ekonomiczne niszczy to, co było najcenniejsze. I to go boli. Z każdego kraju poeta wyjeżdża rozczarowany. Ogląda Rzym i Grecję, gdzie wszystko się zaczęło. Nic go tam nie zatrzymuje. Postanawia więc wracać. Do Ameryki, do Kanady. Wszystko przecież może się znowu zacząć w Nowym Świecie. Podróż pokazała stagnację powojennego życia Europy, jej ruinę i upadek. Tam nie należało szukać przyszłości, ale w Ameryce, która może być odrodzeniem i kontynuacją marzeń człowieczeństwa, gdzie idea rozwoju ma większą swobodę, czucie, szerszy oddech. Wypatrujący nieskończonego widnokręgu, niedoceniony modernista kanadyjski, który przedkładał intelekt nad emocje, a potem schronił się w lakoniczność aforyzmu, zmarł 22 marca 2001 roku, do końca wierny, niestrudzony bojownik o rolę sztuki w życiu człowieka. Jego uczelnia ustanowiła doroczną nagrodę jego imienia za wybitność w nauczaniu, władze kanadyjskie odznaczyły go Orderem Kanady, zamkniętą twórczość poetycką i krytyczną zostawił rzetelnej ocenie przyszłości.

## **Louis Dudek**

### ***Europa 31***

*Nieuk współczesność bazgrała po przeszłości w Winchester;*

*amerykański błazen*

*rysował na dźwierzach*

*mówiąc" bla, bla" temu*

*prostokątnemu, dumnemu angielskiemu gotykowi.*

*Najpierw nie było nic, początki*

*były najtrudniejsze, potem, to co zrobili*

*było z tego co zaczęli.*

*Obojętnie. Teraźniejszość uformowana jest z pierwszych*

*obrobionych kamieni,*

*od Stonehenge do tego oto.*

*Wypisali swoje inicjały*

*obok umarłych. Nowi Anglicy*

*i Amerykanie błaznią się na złotych dźwierzach.*

*Wewnątrz same kwiaty*

*i żłobkowane łodygi,*

*“Muzyka” powiedziałaś, i “Nie do wiary”,*

*ja powiedziałem,*

*że to z kamienia”, takie splątane*

*stawy*

*z białej kości, i strasznej czarnej*

*średniowiecznej magii.*

*Ale nie ma nic*

*Ale to nic w dodatkach z 19 wieku:*

*ostatnie rzeźby cmentarne*

*przy starszej, surowej, normandzko gotyckiej*

*co nie starała się być piękna.*

*Tylko wierna.*

Wierna czemu? Spójrz na moment  
na wstrząsający grobowiec Richarda Foxa  
pokazujący jego ciało  
poszarpane cierpieniem i śmiercią,  
by ci powiedzieć  
- nie bądź nadto beztroski, nawet jeśli Bóg  
nie jest szczególnie ważny,  
pozostają kości, one są katedrą.  
Lecz kilku turystów  
nabazgrało nazwiska  
na piersi Richarda Foxa  
w miejscu gdzie szkielet przebija skórę.  
Niech te dodatki zostaną  
w Winchester.  
Może czas pokaże  
że takie błazny, jak rzeźbione zwierzęta  
należą tam mimo wszystko.  
Nie miałyby kamienia  
na którym mogłyby tak wyraźnie pisać, gdyby nie ofiarowała im śmierć  
swej kościstej piersi.

## ***Dżungla***

*Czas ma swe kresy i swoje początki  
koniuszek liścia i łodyga, skóra i wątroba-  
przez które idzie tętno  
bębnienia w ciszy dżungli,  
gdzieś w drzewach krzyk  
dzikiego ptaka dartego szponami  
gdzieś wielkie koty parzą się , rycząc  
z bólu, może z rozkoszy,  
a cisza nie ma końca, słuchając bębnow  
dzień po dniu o nowym początku  
dzień po dniu udręka, może przyjemność  
ale ponad tym niezmącona biel nieba  
czekająca nad światem, aż ustanie ruch  
i wchłoną go fałdy jego morza  
pogrąży się w przestrzeni, gdzie wszystko co było  
to dźwięk w głuchym uchu, lęk w zapomnianym śnie.*

## ***Epigramy***

*Niedawno temu mieliśmy pokolenie, które miało zbawić świat, ale nikt nie umie powiedzieć, co się z nim stało.*

\*

*Dwa niewypały w Komitecie potrafią przegłosować każdego geniusza.*

\*

*Seks jest najtańszą formą twórczości.*

\*

*Komputery mogą zastąpić człowieka, ale nigdy nie zastąpią kobiety.*

\*

*Porady małżeńskie przed małżeństwem zapobiegłyby wielu małżeństwom.*

\*

*Nie martw się, że wyglądasz staro. Ciesz się, że jeszcze wyglądasz.*

\*

*Porażka jest dobrą zaprawą do sukcesu.*

\*

*Wielki człowiek jest wielki tylko z odległości.*

\*

*Marksowi się wszystko pomieszało. W miarę jak państwo staje się silniejsze, komunizm obumiera.*

\*

*Zazdrość bardzo pochlebia, ale nie zawsze jest zasłużona.*

\*

*Nuda powinna być krótka, bo życie nie jest długie.*

\*

*Gdybyśmy znali prawdę o przyjaciółach, życie byłoby nie do zniesienia.*

\*

*Większość ludzi zabija się, by związać koniec z końcem.*

\*

*Można czuć się bardziej swobodnym z umarłymi, niż z żywymi.*

\*

*Są jeszcze części Kanady w posiadaniu Kanadyjczyków, ale są one zbyt rozproszone, by tworzyły państwo.*

\*

*Tylko hedoniści żałują, że życie jest krótkie.*

\*

*Rewolucja jest dobra, póki nie zwycięży.*

\*

*Ludzie, którzy szybko się nudzą, są albo ogromnie intelegentni, albo nie bardzo inteligentni.*

\*

*Nieporozumienie jest siłą twórczą w historii i w życiu jednostki.*

\*

*Sława to tylko przywilej pozwalający obcym trapić człowieka.*

*Przełożył Florian Śmieja*

---

# Argentyna i Paragwaj



Ambasada Polska w Buenos Aires.

**Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty**

*Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca*

## Zygmunt Wojski

*Polskie ślady w Argntynie i Paragwaju. Dziennik z lat 1990-91.*

Na lotnisku Aeroparque w Buenos Aires czeka na mnie mąż kuzynki Izy, Gabriel Kellner. Zaprasza na kolację w restauracji, niedaleko lotniska. W życiu nie jadłem tak wspaniałego mięsa! To było *bife de chorizo*, nigdy nie zapomnę: soczysta, pyszna, doskonale miękka poducha. Jedziemy do dzielnicy San Isidro, gdzie w hotelu mam zarezerwowany pokoik. Jakoś nie najlepiej się czuję. Rano przemierzam dusznym autobusem chyba kilkanaście kilometrów do Ambasady Polskiej, przy ulicy Alejandro María de Aguado, w dzielnicy Palermo Chico. W rozmowie z ambasadorem Balewskim dostaję zgodę na spędzenie w pokoju gościnnym Ambasady jednego tygodnia. Konsulem jest ten sam pan, który był w roku 1977 sekretarzem Ambasady Polskiej w Meksyku. Teraz ma zmienione nazwisko (sic!), ale jest wciąż bardzo życzliwy i sympatyczny. Udziela mi bezcennych wskazówek na temat Polonii, polskich księży i rozmaitych osób, które okażą mi się użyteczne w moich podróżach. Przenoszę się z hotelu do Ambasady, zdaje się, tego samego dnia, czyli w poniedziałek, 12 listopada 1990 roku.



Buenos Aires. Pomnik Nieśmiertelnego Dziadka, Generała San Martina.

Pierwszy spacer po ogromnym Buenos Aires. Najbliżej jest plac Grand Bourg i Instytut bohatera narodowego, San Martín z jego pomnikiem, na którym wyobrażony jest jako dziadek rozmawiający z dwiema wnuczkami, *Gran Abuelo* (Wielki Dziadek). Dalej, przestronny plac i oto w tumanach kurzu pędzi cała sfera psów różnej rasy i maści, a trzyma je na smyczach jeden „wyprowadzacz”. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem! Po prawej, gigantyczny pomnik generała Carlosa Marí de Alveara (1789-1852), otoczony wielkimi drzewami. To dzieło Antoine’a Bourdelle’a. Stąd już nie tak daleko do cmentarza Recoleta, za którym tętni aleja Santa Fé. Po lewej, wieża Anglików i dworzec Retiro, a prosto, Plac San Martín z ogromnym rozłożystym *ombú*.



Buenos Aires. Kościół Matki Boskiej z Kolumny (Pilar).

W ciągu tygodnia, jaki spędziłem w Buenos Aires, odwiedziłem Argentyńską Akademię Literatury (*Academia Argentina de Letras*) i akademię miejscowego żargonu miejskiego *lunfardo* (*Academia Porteña del Lunfardo*), gdzie poznałem osobicie jej sympatycznego sekretarza, José Gobello, z którym kontakt mam do dzisiaj, jako członek korespondent tej akademii na Polskę. Ponadto, spotkanie na Wydziale Filozofii i Filologii (*Facultad de Filosofía y Letras*), na ulicy 25 de Mayo 221, w dawnym hotelu "Palace Hotel", wówczas bardzo zaniedbanym. Na spotkaniu jest obecna wybitna lingwistka argentyńska Ana María Barrenechea (1913-2010). Opowiadałam o moich badaniach dialektalnych w Wenezueli.

W przeddzień mojego wyjazdu do Concepción del Uruguay, w niedzielę, 18 listopada, uczta zorganizowana na moją cześć przez ciotkę Zytę i moich kuzynów, Izę i Jurka. Dostali ode mnie sporo prezentów i postanowili mi się odwdziaczyć w ten sposób. Pojechaliliśmy bardzo daleko za miasto, do restauracji specjalizującej się w pieczonym na ruszcie mięsie. Było to przy Szosie Panamerykańskiej, gdzieś niedaleko domu Jurka. Uczta była rzeczywiście wspaniała.

W poniedziałek, 19 listopada, wyjazd autobusem z dworca Retiro do miasta Concepción del Uruguay, 297 km. Mijam El Tigre, most Zárate i po czterech godzinach osiągam cel. Czeka na mnie Jorge Díaz Vélez. Oświadczył mi potem, że kogoś, kto śpiewa tanga tak jak ja, Argentyńczyk nie może zapomnieć, choć upłynęły 23 lata od naszego pożegnania w Maladze... To miłe z jego strony. Ulokował mnie w hotelu, a potem zaprosił do domu. Poznałem jego żonę i liczną rodzinę, także jego młodych współpracowników, dla których wygłosiłem pogadankę o moich badaniach dialektalnych. Byli to Fernanda Spada, Fabián Jesús Poerio i Betina Hercolini. To z nimi pojechałem do Pałacu San José, rezydencji gubernatora prowincji Entre Ríos, a także prezydenta Argentyny, Justo José de Urquiza (1801-1870), zamordowanego właśnie w tym pałacu położonym w obszernym parku.

Jeden z synów Jorgego towarzyszył mi w spacerze nad rzekę Urugwaj, jedną z trzech (obok Parany i Paragwaju), które tworzą bezkresną La Platę.

Jorge Díaz Vélez należał do „bractwa”, którego jedną z zasad była wzajemna pomoc w różnych życiowych sytuacjach. Skierował mnie do miejscowości Eldorado w prowincji Misiones, gdzie mieszkała i pracowała w średniej szkole agrotechnicznej jego koleżanka z tego „bractwa”. Była to młoda i ładna osoba pochodzenia ukraińsko-włoskiego. I tak, bardzo odległe Eldorado (1200 km od Buenos Aires, a 900 od Concepción del Uruguay) stało się kolejnym punktem na mojej trasie. Zamieszkałem w internacie szkoły agrotechnicznej, w warunkach skrajnie skromnych, a pod względem sanitarnym i bezpieczeństwa pozostawiających wiele do życzenia. Łazienka była tak brudna, że musiałem ją sam szorować, a „sprzątaczką”, miejscowa Metyska, w czasie mojej nieobecności nie omieszkała zabrać z mojej walizki złote pióro, które sprezentowała mi w Madrycie na urodziny moja była żona (sic!). Posiłki w stołówce były niestrawne, zwłaszcza, że maleńkie muszki natychmiast wpadały do talerza. W czasie pierwszego obiadu towarzyszyli mi uczący w tej szkole Polak, Kazimierz Krzynówek i jego żona Paragwajka. Przynieśli biały obrus i serwetki, ale miało to miejsce tylko wtedy, jeden jedyny raz, „na dobry początek”...



Nocny ptak urutaú (*Nyctibius griseus*).

A teraz plusy. W Eldorado jest kilka rodzin polskiego pochodzenia. Bardzo przyjemne były nagrania moich rozmów z panią Teklą i z państwem Bieleckimi, a także rozmowa ze starszym Niemcem w przytułku dla osób starszych i chorych. Ten dystyngowany pan mówił bardzo poprawnie po polsku, jako że mieszkał jakiś czas w Polsce, a jego pierwszym pytaniem do mnie było: „W jakiej pan mieszka guberni?” Wieczorami dochodziły z pobliskiego lasu żalosne jęki nocnego ptaka, zwanego tutaj *urutaú* (*Nyctibius griseus*). Z Eldorado pojechałem na jeden dzień do państwa Lafere do pobliskiego Montecarlo, 24 km na południe. Okazali się kulturalni i gościnni. Mimo francuskiego nazwiska, oboje są Polakami.

W poniedziałek, 26 listopada, jadę z księdzem Bronisławem Trafasem do odległego San Ignacio Miní (141 km na południe), gdzie ruiny misji jezuickich z XVII-XVIII wieku. Zachowały się fragmenty murów, łuki, posągi i piękne barokowe płaskorzeźby, obszerne dziedzińce. Zanim zacznie się wieczorny spektakl „Światło i dźwięk” o historii powstania, egzystencji i zniszczenia tej misji (Jezuici zostali wypędzeni stąd w 1768), jedziemy do zrekonstruowanego domu wybitnego pisarza urugwajskiego Horacio Quiroga (1878-1937). Znajduje się na wysokim brzegu Parany, na obszernym terenie porośniętym palmami. Widok wspaniały. Wieczorny spektakl wśród ruin misji jezuickiej wzruszający, choć efekty dźwiękowe nieco za głośne.



Wodospady rzeki Iguazú.

We wtorek, 27 listopada, z Kazimierzem Krzynówkiem do wodospadów Iguazú, 100 km na północ. Zabawiliśmy tam prawie cały dzień. Najpierw górna ścieżka, potem dolna i spotkanie z ostronosami rudymi. Na koniec pojechaliśmy do Diablej Gardzieli (*Garganta del Diablo*). Idzie się bardzo długim drewnianym pomostem nad rzeką Iguazú do miejsca, gdzie woda spada do ogromnej wyrwy. Na jej dnie widać tylko skłębioną parę wodną. Widoki wodospadów są nadzwyczaj piękne. Podziwialiśmy je najpierw od strony argentyńskiej, a na koniec z brzegu brazylijskiego. Woda spada z wysokości 80 m bardzo licznymi kaskadami. Jest ich 275 na przestrzeni prawie 3 km, a wszystko to w sercu misjoneńskiej dżungli, gdzie poza ostronosami widać często tukany i papugi. Oczywiście, kolorowe motyle. Upał nieziemski, wilgotność powietrza zawrotna. Na kolację pojechaliśmy do brazylijskiego miasta Foz do Iguaçu.

Na przełomie listopada i grudnia Kazimierz Krzynówek zawiózł mnie do Kolonii

Wanda, do starszego brata, Jana Krzynówka. Tam spędziłem kilka bardzo przyjemnych dni. Osób polskiego pochodzenia jest w Wandzie znacznie więcej, niż w Eldorado. Niektóre nagrania były bardzo ciekawe. Któregoś dnia (a było to chyba w niedzielę, 2 grudnia) zaprosili mnie na obiad pan Krzyszycha i jego bardzo miła żona Angielka. Pan Krzyszycha podczas wojny był, jak wielu Polaków, w RAF-ie i tam poznał swoją przyszłą żonę. Opowiadali mi swoje przygody w Anglii. Zwiedziliśmy razem sklep z kamieniami półszlachetnymi przy kopalni tych minerałów w Wandzie, a pani Krzyszychowa kupiła mi na pamiątkę figurkę żółtego ptaka o czarnych skrzydłach. Stoi do dziś na moim telewizorze.

Przed domem Jana Krzynówka rosły drzewa, cały ich rząd. Było to ulubione miejsce kolibrów. Oblatywały je gromadnie. Wpadałem w zachwyt na ich widok. Kiedyś odwiedził mojego gospodarza pewien młody Paragwajczyk. Okazało się, że jest to zięć Niemca Bussa, który mieszka między Wandą a Puerto Esperanza. Nalegał, abym ich odwiedził i nazajutrz przyjechał po mnie furgonetką, by zawieźć mnie na obiad u państwa Bussów. Jedliśmy na obszernym tarasie, z cudownym widokiem na rozgrzaną puszcę misjoneńską, która ze wszech stron otaczała ten dom. Nie mogłem się napatrzyć. Był na tym obiedzie jeszcze jeden Niemiec z żoną. Zwróciłem uwagę jak dokładnie były objadane wszystkie kosteczki i odkładane z pietyzmem na specjalny talerz. Starałem się naśladować biesiadników w tym względzie, ale im nie dorównałem.

5 grudnia znalazłem się w stolicy prowincji, Posadas i zatrzymałem się na dwa dni u pani dziekan Wydziału Humanistycznego miejscowego Uniwersytetu. Jej nazwisko: Ana María Camblong. Była to młoda i ładna osoba. Mieszkała z synem w eleganckiej willi. Umówiła mnie z Karolą Szychowską-Styczyńską, która 7 grudnia miała na mnie czekać w Apóstoles na przystanku autobusu z Posadas. Odległość z Posadas do Apóstoles wynosi 62 km. W istocie stał tam bardzo elegancki samochód, a w nim przemiła Karola. Nie zapomnę, jak upiorny zaduch panował wewnątrz. Migiem pokonaliśmy 13 km dzielące Apóstoles od La Cachuera, czyli dawnego majątku państwa Szychowskich. Teren wypielegnowany, zadrzewiony, nad rzeczką tworzącą niewielką kaskadę (stąd nazwa La Cachuera). To właśnie tam stał kiedyś młyn do mielenia ryżu, zbudowany przez ojca Karoli. Duży biały dom, a w ogrodzie mały domek, gdzie zamieszkałem. Wyżej, dom, gdzie mieszkał wówczas przyjaciel męża Karoli, pochodzący z Mysłowic, Polak z żoną Urugwajką, a dalej cmentarz rodziny.

Poznałem pana Dzidka Styczyńskiego (Karola mówiła o nim „Zidek”) oraz dwa wilczury wabiące się „Bajeczka” i „Malutka”.



Wzgórze Oliwne (Cerro Aceite) w Paragwaju.

Idealna cisza. Ulubionym miejscem moich spacerów była rzeczka i kaskada. Na nagrania jeździłem do Apóstoles, gdzie na głównej alei pomniki polskości: Matka Boska Częstochowska, polski wóz oraz argentyńskie naczynie do picia mate, Taras Szewczenko (ten pomnik wystawili miejscowi Ukraińcy)... Byłem także w Azara, gdzie księdzem był wówczas Antoni Sołdyga. Jeden z braci Karoli był ważnym urzędnikiem państwowym i kiedyś wygłaszał bardzo barokowe przemówienie na

otwarciu stadionu (?) w jakiejś małej miejscowości, chyba już w prowincji Corrientes. Nie zapomnę, jak bardzo się wówczas wynudziłem! Po polsku ten pan nie mówił.

17 grudnia zatrzymałem się w Posadas na krótko u kolegi Jorgego Díaza Véleza. Także należał do owego "bractwa". Stamtąd, pochodzący z Pyskowic ksiądz Kudlek zawiózł mnie do Colegio Fátima, w miejscowości Miguel Lanús, 8 km za Posadas, w kierunku Santa Ana. Jest to rodzaj pensjonatu dla księży werbistów. Był tam jeden Niemiec wyjątkowo niemiło do mnie nastawiony i to bez najmniejszego powodu! Taki jakiś „antypatyk”! Kilka dni przed Bożym Narodzeniem, 19 grudnia, ksiądz Eugenio Basiński zabrał mnie do Campo Viera, do włości Miguela Antonia Skowrona, ale po drodze było Bonpland, Picada Polaca, Santa Ana i Loreto, gdzie ruiny misji jezuickich z XVII wieku, San Ignacio Miní, Gobernador Roca, Jardín América. Campo Viera jest niewielką miejscowością, w której dominują zabudowania młyna i wielkiej suszarni herbaty oraz willa ich właściciela, Miguela Antonia Skowrona. Zamieszkałem w małym oddzielnym domku dla gości, niedaleko basenu. Żona pana Skowrona jest pochodzenia serbskiego. Prawdziwa „baba Herod”. Z dumą opowiada wszem i wobec, że jej się wszyscy boją. Syn David to miły chłopak, dobrze ułożony, w odróżnieniu od mamy. Kiedyś chciał mnie koniecznie po polsku zawołać na obiad, ale nie był pewien i zapytał babci. Po czym rozległo się jego wołanie w moim kierunku: „Chodźta jeść!”



Akacja tropikalna (*Delonix regia*).

Dookoła zielone łąny herbaty. Yerby mate tutaj mniej. Miguel Antonio Skowron jest dynamiczny, konkretny. Zrobił całą listę osób, z którymi powinienem przeprowadzić wywiady. Zapamiętałem jego matkę w Campo Grande i przystojnych panów Kapelińskich, niedaleko Campo Viera. Oczywiście, rozmawiałem przynajmniej z dziesięcioma osobami, których nazwiska uleciały mi z pamięci. Na wigilię zaprasza mnie pan Adolf Dubil do Campo Grande. W ciągu dnia wycieczka do wodospadu *Salto Encantado* (Zaczarowany Wodospad), koło Aristóbulo del Valle. Oprócz państwa Dubilów, ich urodziwa córka z narzeczonym. Potok Cuñá Pirú w głębokim skalistym kanionie spada z wysokości 70 m wąskim jęzorem. Cień, przyjemnie, wokół sosnowy las. U stóp wodospadu naturalny basen, w którym pływamy. Po powrocie, wieczerza wigilijna pod gołym niebem. Je się tutaj wszystko. Pamiętam, że był kurczak i różne sałatki. Byliśmy w kościele na pasterce, ale kolęd polskich nie było i w ogóle wszystko odbyło się po hiszpańsku. Niestety, coś mi strasznie zaszkodziło. Pewno picie słodkiej oranżady... Biegunka upiorna! Muszę przyznać, że pan Dubil mówi wyśmienicie po polsku. Właściwie jest to jedyna osoba, której polszczyzna jest

absolutnie nienaganna. Zawdzięcza to lekturom. Bardzo dużo czyta po polsku. W Boże Narodzenie próbuję się wyleczyć, a 26 grudnia wracam do Campo Viera, do państwa Skowronów.

27 grudnia odwiedzam w Oberá państwa Cieplińskich i zatrzymuję się tam na jedną noc. Pani Cieplińska jest włoskiego pochodzenia, ale mówi trochę po polsku, a córeczka pozuje mi na balkonie do zdjęcia ubrana w strój krakowski. Wieczorem nagranie u starszej pani, która z humorem opowiada mi o tamtejszych węzach i innych zwierzętach. Wraca z pracy jej wnuczka, która pyta mnie, czy ja też mówię „po kastyziu”. „Kastyż” to przepiękna nazwa języka hiszpańskiego wśród tutejszych Polaków, a pochodzi stąd, że w Argentynie na język hiszpański mówi się *castellano* (wymawiane „kasteziano”).

29 grudnia państwo Skowronowie wiozą mnie do Gobernador Roca. Nocuję w hotelu w San Ignacio, a nazajutrz, nagrania w Gobernador Roca i po południu powrót do Colegio Fátima pod Posadas. 31 grudnia jestem zaproszony na wesele córki pana Kalafarskiego, wiceprzewodniczącego Związku Polaków w Posadas. Przyjęcie odbywa się w wielkiej sali siedziby Związku. Mnóstwo jedzenia, tańce. Przewija się najsłynniejsza melodia „*Ritmo de la noche*” (Rytm nocy). Po północy ktoś z gości weselnych odwozi mnie do Colegio Fátima, gdzie zostaję do 3 stycznia 1991. Podczas pobytu w Posadas poznaję malarza Zygmunta Kowalskiego i jego bardzo przystojną żonę.

3 stycznia rano wyjazd do miasta Corrientes, stolicy prowincji o tej samej nazwie. Mijam wielkie rozlewiska *Esteros del Iberá*, gdzie nenufary, biało-liliowe *camalotes* (*Eichhornia azurea*), kajmany i kapibary. Po przebyciu tym razem stosunkowo krótkiego odcinka 354 km jestem w Corrientes, gdzie czeka na mnie prof. José Miguel Irigoyen (1912-1995), znawca języka guaraní, lingwista, przyjaciel Jorgego Díaza Véleza. Spędzę u niego sześć dni. Urokliwy jest plac 25 Maja oraz promenada nad Paraną. Trochę architektury kolonialnej i bardzo długi, nowoczesny most im. generała Belgrano na Paranie. Ale upał wściekły, nawet późnym wieczorem wracam do domu zlany potem. José Miguel Irigoyen zna osobiście konsula Paragwaju, więc udziela mi skutecznego poparcia w konsulacie paragwajskim i wizę paragwajską dostaję bez trudu. Na dodatek, pan konsul podaje mi adresy i telefony osób, z którymi powinienem się skontaktować. Przed wyjazdem do Paragwaju wysyłam

spora część bagażu do Concepción del Uruguay, na adres Jorgego.



Stolica Paragwaju Asunción.

9 stycznia wyjazd do Paragwaju. Odległość 307 km, a więc bliżej, niż z Posadas do Corrientes. Przejazd przez most im. Generała Belgrano na Paranie i potem przez Chaco i Formosę. Moją bazą jest miasteczko Ñemby, 20 km od Asunción. Mieszkam u młodych kleryków polskich ze zgromadzenia Świętego Michała Archanioła. Ich przeor poznał na kursie francuskiego w Szwajcarii moje były studentki, jak się okazuje. Dojazdy, często zatłoczonym autobusem, są uciążliwe. W autobusie słyszę często rozmowy w języku guaraní. Asunción było bardzo ważnym miastem w okresie konkwisty i kolonizacji Ameryki. Stąd wyruszały wyprawy na podbój okolicznych terytoriów (Argentyna, Urugwaj, Boliwia). Mimo to, zabytków kolonialnych zachowało się niewiele. A dlaczego? Zagadka się wyjaśnia: dyktator José Gaspar Rodríguez de Francia (1766-1840) wyburzył całe dawne centrum kolonialne i kazał

wybudować nowe. Miasto leży nad zatoką rzeki Paragwaj, na wzniesieniach. W centrum, elegancki Pałac Lopezów (*Palacio de los López*) XIX, siedziba rządu. *Casa de la Independencia* (Dom Niepodległości) jest niewielką parterową budowlą z drugiej połowy XVIII. Obecnie mieści się tam muzeum. Obok, Historyczna Uliczka, ze stylowymi latarniami. To tędy przeszli bojownicy o niepodległość tuż przed jej uzyskaniem. Obecna katedra została wzniesiona w 1845, na Placu Niepodległości. Dawny ratusz (*cabildo*), a obecnie Centrum Kulturalne Republiki, z arkadami w ścianie frontowej, to budynek z pierwszej połowy XIX. Klasycystyczny Panteon Bohaterów i jednocześnie oratorium patronki Paragwaju, Matki Boskiej Wniebowzięcia, z elegancką kopułą, ukończono w 1937. Teatr Miejski im. Ignacia Pane zbudowano pod koniec XIX.



Katedra w Asunción.

Najbardziej imponujący jest widok na rzekę Paragwaj, szeroko rozlaną u stóp Asunción. Samo miasto to jeden wielki bazar: mnóstwo sklepów koreańskich. Coraz więcej też wysokościowców. Z dala od centrum, Ogród Botaniczny i Zoologiczny, gdzie także muzeum historii naturalnej w dawnej rezydencji podmiejskiej Carlosa Antonia Lópeza, z 1840, będącej typowym przykładem architektury paragwajskiej. Budynek jest długi, jednopiętrowy, arkadowy, z kolumnami na obu kondygnacjach. Prezentuje się bardzo elegancko. W ogrodzie botanicznym miejscowe drzewa *samuú* (*Chorisia speciosa*), czyli puchowce o bardzo kolczastym pniu, zaś w zoo, okazy miejscowej fauny: ostronosy, iguany zielone, dzikie świny *taguá* (*Catagonus wagneri*), sowy uszatki (*Pseudoscops clamator*), strusie *ñandú* (*Rhea americana*).

W Asunción odwiedziłem Ministerstwo Oświaty, Spraw Zagranicznych, Ateneum Języka i Kultury Guarańskiej, siostry Augusta Roa Bastosa, redakcję dziennika *ABC*, gdzie zaproszono mnie na znakomity obiad i tuż po nim znany dziennikarz (inwalida na wózku) przeprowadził ze mną obszerny wywiad na temat mojego przekładu na polski książki Augusta Roa Bastosa *Syn człowieka*. Siostry pisarza przyjęły mnie niezwykle serdecznie. Odwiedziłem je parokrotnie i czułem się tam, jak u siebie w domu.

W piątek, 11 stycznia, młody polski kleryk, znajomy moich michaelitów, zabiera mnie do siebie, do miejscowości Natalicio Talavera, w departamencie Guairá, 180 km od Asunción. Mijamy po drodze słynne, opiewane w piosenkach jezioro Ipacaraí, dalej, Caacupé z cudowną Matką Boską. Tego samego dnia jadę do stolicy departamentu, Villarrica. Tam ciekawy i oryginalny kościół Matki Boskiej Wniebowzięcia w dzielnicy Ybaroty. Z czerwonej cegły, pseudogotycki, 1957. Okazała katedra Świętego Ducha, koniec XIX. Stacja kolejowa, parterowe Muzeum Miejskie Mistrza Fermína Lópeza, z kolumnami wspierającymi arkady, także z końca XIX. Dawny Uniwersytet Katolicki, w tym samym stylu paragwajskim, co wymienione muzeum, z 1900. Ciekawe są mini dwukółki z daszkiem. To rodzaj konnych taksówek, zwanych *carumbes*.



Paragwajski taniec galopera.

Po południu, a właściwie już pod wieczór, wsiadam do autobusu jadącego do Itapé, 17 km stąd. Toczy się z wolna po piaszczystej drodze jeszcze z epoki kolonialnej (tak zwane *camino real*). Takich dróg w Paragwaju jest jeszcze bardzo wiele. Ale krajobrazy! Wzgórza, palmy, kępy bambusów nad strumieniami, skłębiona roślinność. To tu rozgrywa się akcja *Syna człowieka*. Wchłaniam w siebie całą tę scenę, pożeram ją. Droga prowadzi prosto, bez zakrętów i tylko wznosi się i opada na zmianę, jak w kolejce górskiej. Wewnątrz autobusu mnóstwo ludzi z tobołkami, zakupami. W Itapé, nad rzeką Tebicuary Mí, kaplica z kopią Cudownej Matki Boskiej z Caacupé, zwaną tutaj Matką Boską Pielgrzymującą lub Matką Boską znad Brodu. Dalej, bardzo stylowy kościół Świętego Izydora Rolnika, wyglądający na stary, ale pewno, jak prawie wszystko w Paragwaju, pochodzi z XIX. Nigdzie nie mogę znaleźć o nim żadnej informacji. Nocuję u księdza Nelsona Severiana Vegi. Mieszka z matką staruszką. Oboje bardzo mili i gościnni.

12 stycznia rano biegnę jeszcze nad rzekę Tebicuary Mí, a potem podróż do Iturbe (około 40 km na południe), gdzie Roa Bastos spędził dzieciństwo i młodość. Cukrownia, w której pracował jego ojciec, most na rzece Tebicuary Mí. Powrót do Villarrica (35 km), skąd do Natalicio Talavera (24 km). Nocuję na tarasie pod moskitierą (z przygodami, bo moskitiera spada na mnie w pewnym momencie). Nazajutrz stopem do Ciudad del Este, około 150 km. Samochód prowadzi młody sympatyczny człowiek, obok niego matka. Częstość mnie *tereré* (zimną mate). Jadą na jakieś wesele. Gdy im mówię, że będę musiał przenocować w Hernandarias, kierowca oświadcza, że jego siostra, właścicielka apteki tamże, bez problemu przysparzy mi noc. Wyjaśnia mi, gdzie to jest i zaznacza, bym przyszedł po zmroku, bo wcześniej nie będzie nikogo. Dziękuję.



Plantacja bawełny w Chaco.

Uciekam czym prędzej z nieciekawego i hałaśliwego Ciudad del Este. Byle prędzej do wodospadu na rzece Monday. Upał. Po wodospadach Iguazú nie robi już na mnie takiego wrażenia, ale jednak. Wodospad ma 120 m szerokości i spada trzema

odnogami z wysokości około 40 m, a niżej tworzy kolejny próg, znacznie niższy. To tu Natividad i Cristóbal, bohaterowie Roa Bastosa, piją chciwie wodę, po długiej i wyczerpującej ucieczce z plantacji yerba mate w Tacurú Pucú. Woda jednak nie zachęca do kąpieli: jest mętna, koloru kawy z mlekiem.

W Hernandarias zjawiam się jeszcze przed zachodem słońca. Bez trudu zlokalizowałem aptekę i dom tuż koło niej. W pobliskim barze zamawiam coca-colę, potem drugą i wówczas właścicielka pyta mnie, czy jestem pisarzem. Odpowiadam: „No tak, można tak powiedzieć”. Wtedy ona biegnie na zaplecze i przynosi mi egzemplarz ostatniego *ABC*, gdzie moje wielkie zdjęcie i artykuł z tytułem: „Tłumacz zafascynowany oryginałem” i cały wywiad ze mną. Dzieci właścicieli wydzierają mi prawie gazetę, spoglądają to na zdjęcie to na mnie, wyraźnie poruszone. Gdy się ściemniło, proszę jednego z chłopców, by poszedł do owego domu przy aptece i zapytał, czy już mogę przyjść. Wraca skonfundowany i wyjaśnia, że właścicielka domu oświadczyła mu, że nie zna żadnego Polaka i że w ogóle nic o nim nie chce wiedzieć. Nie daję za wygraną i idę tam z tym chłopcem. Na podwórku bawią się dwie dziewczynki, które proszę, by zawołały mamę. Dziewczynki wbiegły do domu i po chwili zgasły wszystkie światła, kurtyna opadła, koniec spektaklu!

Właściciele już zamykają bar, mają wracać do domu samochodem i chcą mnie zabrać do siebie, ale jakoś nie mogę skorzystać z tego zaproszenia. Jedziemy do klasztoru żeńskiego. Przeorysza nie chce o tym słyszeć. „Nieznajomy człowiek i to w żeńskim klasztorze, wykluczone”. Dopiero na plebanii innego kościoła ksiądz od razu zgodził się i zaprowadził mnie do pokoiku w budynku kościoła. Na moje pytanie, gdzie mógłbym powiesić wypraną bieliznę, bez wahania odrzekł, że najlepiej na krzesłach na ołtarzu, gdyż nad ołtarzem są dwa duże wiatraki i tam wyschnie najszybciej. W środku nocy obudziłem się straszliwie pokąsany przez komary i nie zastanawiając się zbyt długo, chwyciłem materac i poszedłem z nim na ołtarz. Dopiero tam, pod wiatrakami, mogłem spać spokojnie. Na ołtarzu (sic!).

W poniedziałek, 14

stycznia, poszedłem do ratusza z prośbą, by mnie zawieźli na teren wielkich plantacji

yerby mate w Tacurú-Pucú. Niestety, odmówili, dodając, że Roa Bastos to wszystko zmyślił, że to nieprawda, co napisał, etc. Pojechałem więc do ogromnej elektrowni wodnej Itaipú. Jest to przedsiębiorstwo dwunarodowe, paragwajsko-brazylijskie. Prace przy budowie olbrzymiej zapory wodnej na Paranie zaczęły się w latach 80 i trwały do końca lat 90. To największa tego typu inwestycja na świecie. Powrót do Natalicio Talavera via San Pedro, gdzie ciekawy kościół franciszkański Świętego Piotra z epoki Lopezów (wiek XIX).

Nazajutrz stacja kolejowa w Villarrica, XIX i powrót do Ñemby. W czwartek, 17 stycznia, spotykam się z wybitnym malarzem Carlosem Colombino, przyjacielem Roa Bastosa, w tak zwanym Muzeum Gliny (*Museo del Barro*). Carlos Colombino był jednym z założycieli tego wspaniałego muzeum w 1979. Nadzwyczajnej piękności maski drewniane, indiańskie figurki gliniane, obrazy w najlepszym guście. Piękne!



Ruiny misji jezuickiej w San Ignacio.

W piątek, 18 stycznia, podróż do ruin misji jezuickich w Trinidad, na samym

południu, blisko Parany, w prowincji Itapúa. Tuż przy wejściu zaatakowały mnie – dosłownie, jak w filmie Hitchcocka! – jakieś czarne ptaszyska, podobne do kruków. Z trudem się opędziłem. Ale ruiny niesłychanie ciekawe. Zostało tu chyba jeszcze więcej ciekawych ozdób, rzeźb i płaskorzeźb, kolumn, łuków i pięknych portali, niż w San Ignacio Miní w Misiones. Ocalał posąg Świętego Pawła w niszy, cała kolumnada. Stąd już niedaleko do stolicy prowincji, Encarnación nad Paraną. Po drugiej stronie rzeki, Posadas, stolica Misiones i widok na Posadas jest w Encarnación najciekawszy. Poza tym, miasto jest nowe. Katedra chyba wręcz dwudziestowieczna, w stylu neoromańskim. Wracam nocą do Ñemby.

Nazajutrz pani profesor Ela Salazar zaprasza do siebie, gdzie na dziedzińcu stół z białymi kwiatami (kameliami?) w wazonie, a po obu stronach ustawione w krąg krzesła, na których siadają zaproszeni przez nią profesorowie, a ja – ku mojemu zdumieniu – mam zasiąść za tym stołem z kwiatami. Jest wśród profesorów poeta, który wręcza mi nagranie ze swoimi wierszami, a mnie proszą o wypowiedź na temat mojej pracy i organizacji studiów iberystycznych w Polsce. Dość sztywno. Kto to powiedział, że w Ameryce Łacińskiej jest taki luz i spontaniczność?



Wykonany przez Indian Guaraní portal kościoła w Yaguarón (Paragwaj).

W niedzielę, 20 stycznia, rano kupuję w Asunción magnetofon, taśmy i koszulę z *aó-poí* (cienkiej białej tkaniny z haftem). W Yaguarón, 48 km od Asunción, najwspanialszy kościół franciszkański w Paragwaju pod wezwaniem Świętego Bonawentury, XVIII, z rzeźbami wykonanymi przez Indian Guaraní. Na drewnianym suficie cenne malowidła (kwiaty, rozety). Budynek jest bardzo charakterystyczny dla miejscowej architektury: niski, „rozłożysty”, kryty wielkim dachem, który nakrywa zewnętrzne kolumnady. W pobliskim Paraguari, podobny, choć nieco mniejszy kościół Świętego Tomasza Apostoła, XVIII. Tu szeroka fasada jest ozdobiona dwiema niewysokimi wieżami i nie ma kolumnady po obu stronach, jak w Yaguarón. Nad miasteczkiem wzgórze 180 m wysokości. Wieczorem docieram do Sapucaí. Rozmawiam ze starszymi mieszkańcami i nikt nic nie wie na temat eksplozji wagonu wyładowanego bronią na stacji w latach 30 (o czym pisał Roa Bastos). Jeszcze jeden rys bardzo „realistycznej” fikcji pisarza.

W poniedziałek, 21 stycznia, powrót do Argentyny. Odcinek Asunción – Resistencia

wynosi 295 km. Resistencia leży nad rzeką Negro, 7km od jej ujścia do Parany. Jest miastem nowym, o niskiej zabudowie. Dookoła płaskie tereny równiny Chaco. Palmy *yatay* (*Butia yatay*). Młody ksiądz Daniel Skorupa okazuje się bardzo sympatyczny. Nazajutrz organizuje mi podróż do Villa Ángela. Stamtąd jedziemy do miejscowości Coronel du Graty. Razem 275 km. Coronel du Graty jest centrum uprawy bawełny na rozległych równinach. Nagrywam rozmowy z panią Górniakową i panem Władysławem Herbutem, bardzo ciekawe. Nocleg w Villa Ángela u miejscowego księdza Polaka. Uznał za stosowne z góry potraktować mnie za zwolennika systemu komunistycznego i za kogoś, kto na pewno był w Moskwie. Tak się złożyło, że w istocie byłem w Moskwie na wycieczce w 1980. W każdym razie zachował się fatalnie. Ksiądz Skorupa był oburzony, gdy mu o tym powiedziałem. Kolejny nocleg w Resistencia i w czwartek, 24 stycznia, wyjazd do Santa Fé, 534 km.

Tylko przejechałem przez miasto Santa Fé, gdzie przesiadłem się na autobus do leżącego po przeciwnej stronie Parany miasta Paraná. Pamiętam ogromny tunel pod rzeką, zbudowany przez Niemców w 1969. Ma prawie 3 km długości i znajduje się 32 m pod powierzchnią wody w Paranie. Odległość z Santa Fé do Paraná wynosi 30 km. Skontaktowałem się z lingwistką o nazwisku Claudia Greca i zamieszkałem w hotelu. Katedra w stylu eklektycznym jest z 1883, a ratusz z 1890. Z XIX wieku jest także kościół Świętego Michała. W najstarszej części miasta sporo parterowych dziewiętnastowiecznych domków. W piątek, 25 stycznia, byłem z Claudią u profesora Antonia Rubéna Turi, poety i lingwisty (1917-1992). Trochę spacerowaliśmy po mieście i nad Paraną i po południu odjechałem do Concepción del Uruguay, 268 km. Jorgego nie zastałem, był w La Plata. Była tylko jego żona. Nie pamiętam już, gdzie nocowałem, w każdym razie spotkałem się z Betiną Hercolini, która najprawdopodobniej załatwiła mi gdzieś nocleg.

W sobotę, 26 stycznia, zabieram cały mój bagaż i wyjeżdżam do Buenos Aires. Na dworcu autobusowym Retiro czekają Iza i Gabriel i wiozą mnie, oczywiście, do polskiej ambasady, gdzie dowiaduję się, że pokój gościnny zajęty. Chcąc nie chcąc zabierają mnie do siebie do Olivos. Śpię w pokoju ich córeczki, a ona z nimi. W niedzielę jadą gdzieś do znajomych, a mnie zostawiają, abym spokojnie mógł telefonować i załatwić sobie locum. Spotkałem się gdzieś w mieście z panami Borkowskim i Grabią-Jałbrzykowskim, którzy wiozą mnie aż do Burzaco, jak się okazuje. Jechaliśmy tam bardzo długo i to cały czas przez miasto. Pokonaliśmy

chyba z 40 km. W Burzaco jest ośrodek sportowy dla młodych Polaków. Drewniane baraki, piętrowe łóżka... Ale cóż, zgodziłem się tam przenieść. Szybki dojazd kolejką podmiejską do centrum Buenos Aires jest jedynym plusem... Mimo wszystko, po powrocie do kuzynki zatelefonowałem jeszcze do pana Stachury, a ten na to: „Najlepiej niech pan zatelefonuje do Frania S. Pewno się zgodzi”. I tak było. Nazajutrz, w poniedziałek, 28 stycznia, zabrałem ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy, a dużą walizkę zostawiłem u Izy i pojechałem do pana Frania.



Salta. Klasztor św. Bernarda.

Mieszka w centrum, na ulicy Sarmiento, stosunkowo blisko Obelisku. Miejsce

znakomite, a i atmosfera bardzo przyjemna. Jest weteranem drugiej wojny, walczył pod Monte Cassino. Po południu załatwiłem bilety lotnicze na odcinki Córdoba-Tucumán, Jujuy-Buenos Aires, Buenos Aires-Ushuaia i Ushuaia-Buenos Aires. We wtorek, 29 stycznia, wyjazd nocnym autobusem do Córdoba, drugiego największego miasta Argentyny. Odległość niebagatelna – 770 km. Zatrzymuję się u księdza Stanisława Małysy.

Nie pamiętam już, kto polecił mi kontakt z Alicią Malanca de Rodríguez Rojas, lingwistką i literatką, córką znanego malarza post-impresjonistycznego, José Américo Malanca (1897-1967). Może właśnie ksiądz Małysa? Ten kontakt okazał się niezwykle pożyteczny. Alicia nie tylko zlokalizowała moje koleżanki z kursu w Madrycie w 1968, Gladys Gatti i Yolandę Dethou, ale poleciła mi skontaktować się w Tucumán z Davidem Lagmanovichem, w Salta, z Juaną del Valle Rodas López (ona też była na kursie w Madrycie) i w Jujuy, ze swoją znajomą, lingwistką, której nazwiska nie mogę nigdzie odszukać, niestety! I nie było to wyłącznie polecenie, bo Alicia była tak miła, że zatelefonowała do tych osób i wszystko z nimi uzgodniła. Ksiądz Małysa z kolei poprosił swoją znajomą, Polkę (bardzo miłą panią), aby zechciała mi towarzyszyć podczas jednego ze spacerów po mieście.



Córdoba. Klasztor św. Teresy.

Córdoba wydała mi się fascynującym miastem, jedynym, gdzie pozostało tyle pamiątek po okresie kolonialnym. A więc szesnastowieczna katedra z 1577, przysadzista, z dwiema potężnymi dzwonniami po bokach fasady i najwyższą wieżą nad prezbiterium, stary ratusz (*cabildo*), XVIII, długi biały jednopiętrowy budynek, z arkadami i balkonem, ozdobiony na samej górze stylowymi wazami. Obecnie, muzeum archeologiczne. Najbardziej spodobał mi się klasztor Świętej Teresy, XVII-XVIII, z pięknym dziedzińcem. Dawny rektorat, XVII, stylowy budynek kolonialny, siedziba najstarszego w Argentynie i czwartego w Ameryce uniwersytetu założonego przez Jezuitów, z piękną Aulą Magną. Ciekawe są też inne kościoły, Świętej Katarzyny, jezuicki Towarzystwa Jezusowego. Wyjątkowo oryginalnie wygląda Dom Markiza de Sobremonte z XVIII. Bardzo elegancką konstrukcją jest wzniesiony w stylu francuskim dawny Pałac Ferreira z początku XX, obecnie siedziba Muzeum Sztuk Pięknych.



Tucumán. Dom Niepodległości.

W towarzystwie Gladys Gatti wybrałem się też do Alta Gracia (36 km na południowy zachód od Córdoba), gdzie zwiedziliśmy dom Manuela de Falli (1876-1946). Kompozytor spędził tu na wygnaniu ostatnie lata życia, od momentu wybuchu wojny domowej w Hiszpanii, aż do śmierci. Jest to ładna willa w stylu tyrolskim, o częściowo szachulcowej konstrukcji, z zielonymi okiennicami. W Alta Gracia jest też duży kompleks jezuicki z klasztorem i kościołem o wyniosłej wieży. Zdaje mi się, że nie zdążyliśmy go zwiedzić. Szkoda!

Jak na pięć dni spędzonych w Córdoba, wykorzystałem czas do maksimum. Pojechałem jeszcze na północ do La Granja (53 km od Córdoba), gdzie u stóp gór zwanych *Sierra de Córdoba* odbywają się kolonie letnie dla dzieci tutejszych Polaków. Zastałem tam panią Bieleśową, która przeprowadziła ze mną wywiad opublikowany później w *Głosie Polskim* w Buenos Aires.

Na koniec, Yolanda Dethou zaprosiła Alicję Malankę, Gladys Gatti i mnie na bardzo miłą kolację u siebie w domu. Było bardzo serdecznie.

W niedzielę, 3 lutego, odleciałem do Tucumán, 530 km. Na lotnisku czekał pisarz i lingwista David Lagmanovich (1927-2010). Spędziłem u niego jedną noc. Nazajutrz oglądałem to piąte pod względem wielkości miasto Argentyny (po Buenos Aires, Córdoba, Rosario i Mendozie). Jedynym domem kolonialnym jest *Casa de la Independencia* (Dom Niepodległości) XVII, niski, parterowy, z salomonowymi kolumnami przy wejściu i trzema dziedzińcami wewnątrz. To tu 9 lipca 1816 Kongres Tukumański ogłosił niepodległość zjednoczonych prowincji La Platy. Podobno katedra była zbudowana w XVI, ale jej obecny wygląd pochodzi z roku 1856 i wykazuje cechy architektury włoskiej owego czasu. Bazylika Świętego Franciszka jest z końca XIX, a bazylika Matki Boskiej Łaskawej została wzniesiona w połowie XX wieku w stylu neokolonialnym. Na wspaniale zadrzewionym Placu Niepodległości rzeźba przedstawiająca wolność. Jej autorką jest Lola Mora (1866-1936), która urodziła się właśnie w prowincji Tucumán. Bardzo elegancki jest dom zarządu prowincji ( *Casa de Gobierno* ), 1910, w wykwintnym stylu francuskim.

Tego samego dnia (poniedziałek, 4 lutego) po południu David odprowadza mnie na dworzec autobusowy, skąd odjeżdżam do Salty, 260 km. Po drodze piękne krajobrazy w Tafí del Valle i w Quebrada de Cafayate: czerwone skały, doliny, winnice. W Salta czeka na mnie Juana del Valle Rodas López, znajoma sprzed... 23 lat, z kursu lingwistyki w Madrycie. Pamiętam, że w Madrycie udzielałem jej lekcji francuskiego. Strasznie pocięły mnie u niej komary w nocy.

Salta leży na wysokości 1187 m, w dolinie rzeki Lerma. Znana jest ze swoich zabytków neokolonialnych, z których najważniejszym jest ratusz (*cabildo*). Oryginalny budynek pochodzi z końca XVIII, ale w 1945 był gruntownie restaurowany. Jest podłużny, dwukondygnacyjny, z arkadami na obu kondygnacjach, z balkonem i wieżą pośrodku. Obecnie mieszczą się tam 2 muzea. Na parterze, Muzeum Historyczne, a na piętrze, Muzeum Kolonialne i Sztuk Pięknych. Katedra i klasztor Świętego Franciszka w stylu neoklasycyzmu są z XIX. Elegancką budowlą neokolonialną jest też Teatr Victoria. Nad miastem wzgórze Świętego Bernarda, 200 m wysokości, skąd obszerny widok na całe miasto i okoliczne góry. Miasto jest przyjemne, dość atrakcyjne. W okresie kolonialnym pełniło rolę łącznika między

Limą a Buenos Aires.

Pod wieczór we wtorek, 5 lutego, wyjazd autobusem do Jujuy, 97 km. Jechał wolno i bardzo się spóźnił. Miałem wyrzuty sumienia wobec czekających na mnie państwa, przemiłych zresztą ludzi. Wieczorem niewiele było czasu, ale, zdaje się, miałem chwilę, by zajrzeć do neoklasycznej katedry z XVIII, z barokową amboną z XVII. Najstarszym zabytkiem jest tu kaplica Świętej Barbary z 1777, z drewnianym, malowanym sufitem. Kościół Świętego Franciszka jest z początku XX, ale ambonę ma z XVIII.



Humahuaca (prowincja Jujuy).

W środę, 6 lutego, bardzo wcześnie pobudka. Jedziemy daleko na północ, aż do doliny Humahuaca, 126 km. Pierwszą atrakcją jest Purmamarca i Góra Siedmiu Kolorów: skały mają długie poprzeczne warstwy w różnych kolorach, od ochry, przez brąz i czerwień do zieleni i błękitu. Kolejny postój to Tilcara, gdzie inkaska forteca z kamieni, a wokół, morze kaktusów na stokach górskich. I tu zbocza mają piękny ciemnoczerwony kolor. Wreszcie Humahuaca, gdzie pomnik bohaterów walk o niepodległość, wśród nich Indianie. Obiad przy akompaniamencie indiańskiej kapeli ludowej w bardzo miłej atmosferze. W pobliżu niewielki kościółek.



Purmamarca (prowincja Jujuy).

Po południu powrót samolotem do Buenos Aires (1654 km), gdzie nazajutrz zwiedzam Muzeum Historyczne. Bardzo bogate zbiory.

W sobotę, 9 lutego, odlot do Ushuaia na Ziemi Ognistej, 3496 km. Przesiadka na inny samolot w Río Gallegos, jeszcze w Patagonii. Ziąb niebywały. W Ushuaia nocuję u miejscowego księdza. Zapisuję się na niedzielną wycieczkę na trasie Almanza - Wyspa Pingwinów - Hacjenda Harberton.



Ushuaia, Wyspa Pingwinów.

Do Almanza dowożą nas autobusem, a tam wsiadamy na katamaran. Płyniemy bardzo długo. Jest pochmurno i zimno. Często pada deszcz. Szczyty gór w chmurach. Co jakiś czas lwy morskie, kormorany i wreszcie wyspa pingwinów (*Isla Martillo*). Pasażerowie na statku wpadają w szal. W podnieceniu strzelają zdjęcia jedno za drugim. Okazuje się, że odległość między Ushuaia a Hacjendą Harberton wynosi... 85 km. Po powrocie do Ushuaia jeszcze wizyta u pana Zapruckiego, który tam mieszka z żoną Chilijką. O godzinie 23-ej wychodzę od niego i jest całkiem widno!

W poniedziałek, 11 lutego, rano, powrót do Buenos Aires. Nazajutrz pan Lichota z Ambasady Polskiej wiezie mnie na lotnisko Ezeiza i odlatuję do Madrytu. Pobyt w

Argentynie i w Paragwaju trwał trzy miesiące. Przemierzyłem tysiące kilometrów, zwiedziłem najróżniejsze regiony. Jestem zadowolony.

**Poprzednie części wspomnień z podróży Zygmunta Wojskiego:**

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-i/>

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-ii/>

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-iii/>

---

## **Baśniowy Gałczyński**

**27 października 2016 r. na XX Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie miała miejsce premiera książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (wyd. Novae Res). Oto fragment książki.**



„Konstanty Ildefons Gałczyński. Poeta magiczny”. Od lewej: Maria Nowotarska, Stan Borys, Karolina Ingleton, Krzysztof Jasiński, Agata Pilitowska, arch. PUNKT.CA, fot.: Yarek Dąbrowski.

## **Joanna Sokołowska-Gwizdka**

26.10.98.

Mario Droga,

*A więc klamka zapadła: mam wizę i bilet od Ciebie i będę 6 grudnia. Wylatuję z Warszawy o 12.30. Gdzieś przed 20.00 polskiego czasu będę w Twoim mieście. Nie wiem, jak sobie wyobrażasz cały ten poetycki spektakl. Żeby Ci trochę pomóc, przesyłam Ci swoją pierwszą książkę o ojcu – jest krótsza, nie zabierze Ci nazbyt wiele czasu, natomiast jest w niej pełno faktów i zdarzeń. Może przyda Ci się. Zdobyłam ją dzięki zaprzyjaźnionemu księgarzowi, który gdzieś jej resztki wykopał. (...) Byłam wczoraj i przedwczoraj w Krakowie – słońce, ciepło, pięknie, myślałam o Tobie. (...)*

(...)

\*\*\*

Spektakl *Konstanty Ildefons Gałczyński. Poeta magiczny* oczarował widownię. W baśniowej scenerii, na pograniczu snu i jawy, płaczą się zwiewne postacie, tańczą, wirują wraz ze światłem i półcieniami, snują opowieści, potęgując strofy mówione szeptem niczym modlitwa, wylaniają się z tła, by wołać gromko i wyraźnie, niosą śpiew przez szum mazurskich trzcin, przez krakowską ulicę z tętentem koni, przez blask warszawskich latarni, zgubione marzenia i „księżyc, który się nie goli”. Przeplatają się różne nuty, grają światła i cisza, okno patrzy na świat zdziwionymi oczami, okrągły stolik zasnuty ciężką, ciepłą serwetą migocze w blasku świec. A na połyskliwej, rozwieszonej nieregularnie tkaninie różnymi kolorami światła malowane są kolejne obrazy czasu, poezji i wyobraźni.

Kira Gałczyńska i Maria Nowotarska chodziły razem do szkoły podstawowej przy ulicy Pędzichów w Krakowie. Szkoła o nazwie „Instytut Marii” prowadzona była przez zakonnice. Mieściła się w starym przedwojennym budynku, zajmowanym podczas wojny przez Niemców.

### **Maria Nowotarska:**

Pamiętam, jak przyszła do naszej klasy ładna, czarna dziewczynka z dużym poczuciem humoru, trochę taki łobuziak. Bardzo się polubiłyśmy. Czasem odprowadzałam ją na Basztową, gdzie wtedy mieszkała. Nie pamiętam jej ojca, ale bardzo dobrze zapamiętałam ją.

### **Kira Gałczyńska:**

Marię poznałam w pierwszych powojennych latach. Z tamtego Krakowa właściwie niewiele już pamiętam, ale pamiętam Marysię, z którą najpierw spotykałam się w szkole, a potem oglądałam ją w Teatrze Starym, kiedy już jako dziecko partnerowała znanym aktorom. Mówiłam wtedy mojemu ojcu, że ja też koniecznie chcę wystąpić w teatrze. Ale ojciec mi wtedy odpowiadał: do tego trzeba jeszcze coś mieć, coś, co się nazywa iskrą bożą. Tak więc Marię zapamiętałam jako śliczną dziewczyneczkę, która

była małą aktorką jeszcze w szkole podstawowej. Potem ją zobaczyłam jako równie śliczną, ale trochę starszą dziewczynę po studiach. W ciągu następnych lat wiedziałam o niej, oglądałam ją w filmach, w telewizji, ale nie miałyśmy z sobą kontaktu.

### **Maria Nowotarska:**

Po latach, będąc już w Kanadzie, wypożyczałam książkę autorstwa Kiry Gałczyńskiej, w której ze zdziwieniem przeczytałam: „zazdrościłam mojej koleżance z klasy Marysi Nowotarskiej, że grała w teatrze”. Niewiele myśląc, zdobyłam jej telefon i zadzwoniłam. Bardzo się ucieszyła.

### **Kira Gałczyńska:**

Kiedy spotkałyśmy się w Polsce, to tak jakoś wróciłyśmy do siebie, jakby tych lat nie było. Okazuje się, że jeśli jest bliskość między ludźmi, to niekoniecznie musi być potwierdzana przez ciągłe spotkania. Ona nagle daje o sobie znać po latach, jako coś trwałego, bo jest gdzieś w nas zakodowana.

### **Maria Nowotarska:**

Bardzo dobrze nam się rozmawiało. Spotykałyśmy się, ilekroć byłam w Warszawie. Kira zawsze przychodziła na moje przedstawienia. A potem, gdy przygotowywałam spektakl o Gałczyńskim, zaprosiłam ją do udziału.

- Chciałabym, żebyś w tym wieczorze miała dwa wejścia prywatnej opowieści o ojcu, tak zupełnie od serca - powiedziałam.

### **Kira Gałczyńska:**

Gdy Maria wymyśliła, że chciałaby w swoim Salonie zrobić Gałczyńskiego ze mną, przestraszyłam się. Przecież nigdy w taki sposób nie brałam udziału w spektaklu, nie potrafię tego zrobić. Ale ona mnie namówiła, tak jak to Maria potrafi.

- Przyjeżdż, zobaczymy, co z tego wyniknie - powiedziała.

Zorganizowała cały mój przyjazd i właściwie dopiero na miejscu zorientowałam się, jak dużą i niezwykłą pracę Maria tam wykonuje.

## **Maria Nowotarska:**

Kira Gałczyńska bardzo była ciekawa przedstawienia, ale ja jej powiedziałam:

- Zaproszę cię na scenę dopiero podczas spektaklu. Chciałam, żeby Kira usiadła na widowni, w pierwszym rzędzie, żyła tym spektaklem tak jak inni i chciała się dowiedzieć, co będzie dalej. Nie chciałam, żeby jej występ był wyreżyserowany. Jej opowieść miała być jak najbardziej naturalna, od serca, jak rozmowa.

## **Kira Gałczyńska:**

Spektakl ten powstawał spontanicznie, tak właściwie z niczego. Najpierw była korespondencja Marii, ona wybierała wiersze, potem piosenki, korespondowała ze swoimi znajomymi kompozytorami, przede wszystkim w Krakowie, a potem, kiedy ja przyjechałam, to właściwie wszystko już było gotowe. Została wyczarowana piękna scenografia i niezwykła muzyka. Dla mnie spektakl był niespodzianką.



Kira Gałczyńska (z lewej) i Maria Nowotarska po spektaklu.

\*\*\*

(...)

Dziś i wczoraj przeplata się nawzajem. Są więc i wspomnienia z dzieciństwa, do których prowadzą warszawskie latarnie (*Pożegnanie z latarniami*). Gdy ze sceny padają słowa „żegnajcie kochane latarnie”, pojawia się po raz pierwszy Kira Gałczyńska i opowiada, że te latarnie prowadziły do domu na Towarowej w Warszawie, domu smutnego, gdzie dwoje dorosłych ludzi nie umiało stworzyć ciepła dwóm małym chłopcom – Kostkowi i Mietkowi. Starszy, Kostek, próbował zastąpić i matkę, i ojca swojemu młodszemu bratu. Potem jest opowieść o szpilkach do włosów matki Konstantego, które, jak napisał poeta, znalazł w trzcinach, a tak naprawdę przejechały w jego książeczce do nabożeństwa cały świat. Jest to poetycka opowieść o miłości do matki i o dojrzewaniu do umiejętności wyrażenia tej miłości.

Bajkowość spektaklu nie byłaby do końca „gałczyńska” gdyby nie pojawił się tam Kraków, kataryniarz, zaczarowana dorożka i spacer po krakowskich uliczkach, gdyby nie było zapachu świąt Bożego Narodzenia (*Przed zapaleniem choinki* – Maria Nowotarska) i tych wszystkich cudów i dziwów zaczarowanego Krakowa. „Zaczarowana dorożka, zaczarowany dorożkarz i zaczarowany koń” – po raz drugi wprowadzają na scenę Kirę Gałczyńską, która pięknie mówi o ojcu i krakowskim domu przy Krupniczej, domu „Pod czterdziestoma wieszczami”. Wspomina pusty pokój, który dość szybko wypełniał się nietuzinkowymi przedmiotami ze spalonego domu w Aninie (na przykład prawosławna ikona z domu rodzinnego Natalii Gałczyńskiej, którą przywiózł Jerzy Zaruba, sąsiad i przyjaciel). Ściany pokoju obrastały we wpisy, rysunki, obrazki malowane przez przyjaciół, znanych artystów. Zresztą każdy mógł zostawić swój wpis na ścianie, pod warunkiem, że miał coś ważnego do powiedzenia.

### **Kira Gałczyńska:**

*Gałczyński* okazał się pod każdym względem czarownym spektaklem, ze swoją atmosferą i niepowtarzalnym urokiem.

Maria dobrze wie, że inaczej mówi się poezję Słowackiego, a inaczej trzeba mówić Gałczyńskiego. Świetnie potrafi połączyć lirykę z groteską, tak że w efekcie spektakl

miał zarówno nastrój, taki bardzo „gałczyński”, jak i był autentycznie zabawny. Maria poza tym umie wyegzekwować od aktorów to, co sobie wymyśliła. Tak więc i zespół mieścił się znakomicie zarówno w zabawie, jak i w warstwie lirycznej.

Przedstawienie miało dużo bardzo wzruszających momentów. „Księżycowa noc” i ta idealna cisza na widowni. Gdyby tam latały muchy, byłoby je słychać. Zarówno liryką, jak i absurdalnym Gałczyńskim Maria doskonale trafiła w oczekiwania publiczności, w jej percepcję, w jej zaangażowanie. Widzowie siedzieli zasluchani, panowała kompletna cisza. A po spektaklu ciągnęły się rozmowy, którym nie było końca. Ludzie przychodzili, pytali, dlaczego spektakl jest grany tylko ten raz. Mnie też pytano, już konkretnie o Gałczyńskiego, o sytuacje, w jakich powstały rozmaite wiersze. To była bardzo sympatyczna rozmowa, jakbyśmy się od dawna znali. Jestem przekonana, że chociaż wróciłam do Warszawy, to gdzieś tam ten Gałczyński został wśród ludzi.

(...)

Notatka Jerzego Pilitowskiego pod datą 2 stycznia 1999:

*(...) Dwunasty (grudnia) premiera w Bishop Marrocco. Poszło pięknie. Ujawniły się walory inscenizacji, scenografii, dobrego wykonania aktorskiego (także Tomeczka), niestety widzów niewielu, może 200-250. Występ Kiry bardzo udany, a i ona nadzwyczaj szczęśliwa. Nazajutrz powtórka w Centrum Jana Pawła II – tym razem widzów znacznie więcej, chyba ponad 500. Sukces niewątpliwy, choć przeżywamy duży stres – obawę przed klęską finansową. Robota ogromna – oboje z Marysią gonimy resztkami sił. Po dokładnym obliczeniu okazuje się jednak, że nie jest tak źle i w zasadzie pokryjemy wszystkie zaplanowane wydatki, hurrra! Dobre recenzje Bonikowskiego w „Gazecie” i Kasprzyka w „Związkowcu”. 14-go Marysia jedzie z Kirą pociągami do Montrealu, do Basi Horny. Szesnastego odprawiamy Kirę na lotnisko. Cała szczęśliwa – nikt nigdy nie zrobił takiego Gałczyńskiego.*

*Kolejny fragment książki ukaże się w poniedziałek 21 listopada.*

**Książka jest publikacją multimedialną. Pod spisem fotografii został wydrukowany link i QR code, który przekierowuje czytelnika na stronę**

internetową, gdzie znajduje się galeria kolorowych fotografii w wysokiej rozdzielczości.



**Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych.**

**Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę i przyjmuje karty kredytowe.**

<http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/>

**Inne księgarnie:**

[http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr\\_spełnionych\\_nadziei\\_kartki\\_z\\_zycia,druk](http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr_spełnionych_nadziei_kartki_z_zycia,druk)

<http://lubimyczytac.pl/ksiazka/3952985/teatr-spełnionych-nadziei-kartki-z-zycia-emigracyjnej-sceny>

<https://aksiazka.pl/produkt-302969,teatr-spełnionych-nadziei>

---

# Pułkownik Józef Beck



Minister spraw zagranicznych Józef Beck w Londynie, 4 kwietnia 1939 r. ,  
fot. AP Photo.

## Zdzisław Najder

Osiemdziesiąt lat temu, w czasie mojego szczeniństwa, nazywaliśmy naszą Ojczyznę „Polską Niepodległą” albo „Odrodzoną”. Używaliśmy wymiennie obu nazw. W Europie środkowej był to okres świadomego (albo czasem bezwiednego) szamotania się w poszukiwaniu państwowego bezpieczeństwa. Chodziło o znalezienie możliwie zacisznej pozycji między dwoma potęgami. Jedną był Związek Radziecki, w sierpniu 1920 roku przepędzony z Polski przez wojska dowodzone przez Józefa Piłsudskiego.

Stalin zmieniał ZSRR w maszynę do unicestwiania tych, których uznał za wrogów. Drugą potęgą były Niemcy, pokonane w I wojnie światowej. Od roku 1933 nazywały się oficjalnie Trzecią Rzeszą i pod wodzą Adolfa Hitlera szybko rozbudowywały swoją potęgę militarną.

Piłsudski zdawał sobie sprawę z zagrożenia. Poufnie zaproponował Francji wojnę prewencyjną, by stłumić zagrożenie w zarodku. Francuzi propozycji nie przyjęli.

Urząd polskiego ministra spraw zagranicznych sprawował od 1932 roku pułkownik Józef Beck. Z zawodu był nie dyplomata, ale oficerem i to frontowym, a nie sztabowym, artylerzystą. Podczas I wojny światowej służył w Pierwszej Brygadzie Legionów Piłsudskiego. W lipcu (4-6) 1916 brał udział w ciężkiej bitwie pod Kostiuchnówką na Wołyniu, najkrwawszej, którą Legiony musiały stoczyć. Otrzymał wówczas swój pierwszy Krzyż Walecznych. Później służył jako wysokiej rangi, a co najważniejsze – skuteczny, organizator i dowódca tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej. POW działała na ziemiach zaboru rosyjskiego. Walczyła najpierw z Rosją carską, potem z bolszewikami. Młody Beck odznaczył się odwagą: jeszcze trzykrotnie przyznano mu Krzyż Walecznych, a później także Virtuti Militari. Działalność konspiracyjna musiała być dla niego nie łatwa, bo wyróżniały go i wzrost i nos. Pod obu względami przypominał Charlesa de Gaulle’a.

Beck pochodził z niezamożnej rodziny unickiej. Ojciec był lokalnym urzędnikiem. Urodził się w Warszawie 4 października 1894 r.; w księdze parafialnej (prawosławnej, bo Rosja carska Unii nie uznawała) jego nazwisko zapisano jako „Bek”. Po roku 1939 Hitler kazał wyszukać jego żydowskich przodków. Mimo usiłowań, nie udało się ich znaleźć; rodzina wywodziła się prawdopodobnie z Flandrii.

Cenił piękne kobiety; takie były jego dwie kolejne żony. Był także koniarzem, chociaż nie ułanem, jak Wieniawa, tylko artylerzystą. Za kołnierz nie wylewał, co było nieroztropne dla borykającego się z nawrotami gruźlicy. Umarł na nią dość młodo; przyczynił się do tego gen. Władysław Sikorski, mściwy jak zawsze, odmawiając w 1939 pomocy w wyciągnięciu za granicę internowanego w Rumunii ministra.



Ambasador włoski Alberto Martin Franklin na audyencji u marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Widoczni m.in.: szef Gabinetu Ministra Spraw Wojskowych Józef Beck (pierwszy z lewej), Józef Piłsudski, ambasador włoski Albert Martin Franklin (pierwszy z prawej), fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Najważniejszą sprawą w życiu i karierze publicznej Józefa Becka była przyjaźń z Józefem Piłsudskim. Znali się dobrze od roku 1913. Beck był wielbicielem marszałka,

który cenił pułkownika jako fachowca i miał do niego szczególne zaufanie. W październiku 1920, krótko po zakończeniu wojny z bolszewikami, powierzył mu poufną misję do admirała Mikłosa Horthy'ego, wrogiego komunistom regenta Węgier. Becka właśnie wysłał Piłsudski w styczniu 1921, wkrótce po zajęciu Wilna, do „zbuntowanego” gen. Lucjana Żeligowskiego. W marcu 1925 Beck poprosił marszałka, by zgodził się zostać ojcem chrzestnym Andrzeja, jedyne go syna. Wkrótce potem, świadom rugowania zwolenników Piłsudskiego z wyższych stanowisk w Wojsku Polskim, Beck sam podał się do dymisji i objął posadę urzędnika bankowego. Paradoksalne zajęcie, bo pułkownik zawsze żył z oficerskiej gaży, a do pieniędzy, nie przywiązywał większej wagi – jak zresztą całe otoczenie Marszałka (który sam utrzymywał rodzinę z honorariów autorskich, a rentę przekazywał na wileński sierociniec wojskowy).

Podczas przewrotu majowego w r. 1926 stanął po stronie Piłsudskiego. W latach trzydziestych spotykali się bardzo często. W końcowym okresie życia marszałek szczególnie się do Becka zbliżył i wypowiadał się o nim do najbliższych współpracowników zarówno serdecznie, jak pochwalnie:

*W mojej pracy nad polityką zagraniczną Polski znalazłem szczególnie zdolnego i inteligentnego współpracownika... Ja nie mogę zrobić Panu dość komplementów, panie Beck.*

Rozmawiali głównie o polityce zagranicznej, pasji Piłsudskiego. O ile wiemy, nie było między nimi różnic w ocenie sytuacji międzynarodowej Polski, która z roku na rok stawała się groźniejsza. Złowrogim sygnałem było nie ogłoszenie w Niemczech ustalonego 26 stycznia 1934 roku tekstu niemiecko-polskiej deklaracji o wzajemnej nieagresji. Marszałek był skądinąd zdania, że okres względnej równowagi międzynarodowej nie potrwa dłużej, niż cztery lata. Rozumiał, i Beck dzielił jego pogląd, że położenie Polski staje się tragiczne.

W rządach II RP Józef Beck sprawował różne funkcje; bywał szefem gabinetu premiera, wiceministrem i ministrem spraw zagranicznych. Był wszechstronny i pracowity. Mówił płynnie po rosyjsku, niemiecku i francusku. Urzędnicy republiki francuskiej wystawiali mu wtedy i później ocenę krytyczną. Złośliwie: kiedy 7 marca 1936 wojska niemieckie wkroczyły do Nadrenii, łamiąc postanowienia traktatowe,

Beck zawiadomił Paryż, że Polska jest gotowa poprzeć zbrojnie sprzeciw francuski. Daremnie. W roku 1939 okazało się, że ówcześni Francuzi nie chcieli umierać nie tylko za Gdańsk, ale nawet za Paryż. W Wielkiej Brytanii natomiast Beck znał osobiście dwu czołowych przywódców konserwatywnych: lorda Halifaxa, który długo miał nadzieję dogadać się z Hitlerem – i Winstona Churchilla, pierwszego Lorda Admiralicji i późniejszego nieugiętego premiera. Ogromną rolę w stosunkach polsko-brytyjskich odgrywał wówczas ambasador RP w Londynie hrabia Edward Raczyński, wybitny dyplomata i jeden z najznakomitszych polityków polskich XX wieku. Miałem zaszczyt go poznać w roku 1957. Zrobił na mnie wielkie wrażenie swoimi horyzontami politycznymi, znajomością spraw krajowych i wszechstronnością umyslową. Zaprzyjaźniliśmy się, mimo różnicy wieku, i przyjaźń ta sprawdzała się do końca. Ostatni raz rozmawiałem z Panem Edwardem, składając mu życzenia świąteczne na Boże Narodzenie w 1984 roku; miał wtedy 101 lat.

Beck i Raczyński znali się i wzajemnie mieli do siebie zaufanie. To umożliwiło im podpisanie 25 sierpnia 1939 roku (w ostatniej chwili przed wybuchem II wojny światowej) układu o pomocy wzajemnej między Polską a Wielką Brytanią. Rzeczpospolita zyskiwała sprzymierzeńca potężnego, bo rozporządzającego największą wówczas marynarką wojenną świata. W dodatku sprzymierzeńca, wygodnie oddzielonego Kanałem od kontynentu europejskiego. Układ wywołał wściekłość obu naszych totalitarnych sąsiadów i spowodował, że Józef Beck stał się rekordzistą Europy w ściąganiu na siebie oskarżeń i kalumnii. Krytykowali go także polscy wrogowie polityczni – nie potrafiący zresztą oferować własnego wyjścia z sytuacji.



Józef Beck, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Hitler liczył, że bez trudu upora się z Polską, o wiele słabszą militarnie. Była mało zindustrializowana. Spajanie w jeden sprawny system szkolnictwa i administracji kraju, zeszytego z trzech bardzo nierówno rozwijających się przez cały wiek XIX części, wymagało wielkiego wysiłku ludzkiego – i pieniędzy. Z ogólnoswiatowego kryzysu gospodarczego lat 1926/7 Polska wydzwigała się bardzo późno. Finansowany całkowicie przez państwo imponujący i szybki rozwój Centralnego Okręgu Przemysłowego (położonego w widłach Wisły i Sanu) zaczął się dopiero wiosną 1937 roku. Wówczas zdążono zainwestować trzy miliardy złotych, jedną czwartą w przemysł zbrojeniowy. Wybudowano m.in. dwie duże – i widowiskowo piękne – elektrownie wodne w Porąbce (na Sole) i Rożnowie (na Dunajcu), projektowane jeszcze przez zamordowanego w 1922 Gabriela Narutowicza.

Aby sobie zadanie ułatwić i jak najbardziej pognębić wroga – *Führer* zawarł układ z

naczelnym wrogiem ideowym, Sowietami. „Pakt Ribbentrop – Mołotow” przewidywał podział Europy Środkowej na osobne strefy wpływów, a w tajnym załączniku również rozbiór Polski wzdłuż biegu Narwi i Bugu.

W swoim słynnym przemówieniu w Sejmie RP 23 sierpnia 1939, w którym odrzucił niemieckie ultimatum, Józef Beck umieścił konflikt niemiecko-polski na płaszczyźnie europejskiej. Nie wspomniał ani słowem o ZSRR. Pułkownik znał dobrze Sowiety i wiedział, że dla ich przywódców podpisane porozumienia międzypaństwowe są warte mniej, niż atrament, zużyty na ich własne podpisy. Stawiając Polsce warunki Hitler postulował zburzenie całego ówczesnego porządku międzynarodowego. I na to polski minister powiedział: nie pozwalam!

Zdawał sobie w pełni sprawę z grozy sytuacji. Pojęcie honoru należy do tej samej tradycji myślowej, co pojęcie tragedii. I honor właśnie nadaje sens ludzkim czynom w położeniu beznadziejnym.

Przemówienie Becka było rzecz jasna skierowane przede wszystkim do Sejmu RP i do Polaków. Ale również do Europy Zachodniej. Dla Niemców nie zawierało nic nowego; dla Sowietów – też nie. Decyzje w Berlinie i Moskwie zapadły zresztą już wcześniej. Minister spraw zagranicznych RP wiedział o tym – i obwieścił Europie polską niezgodę na zburzenie całego porządku międzynarodowego. Polskie veto miało niewielkie znaczenie militarne, bo przewaga sąsiadów była miażdżąca. Ale stawiało nas w jednym szeregu z państwami demokracji parlamentarnej.

I do tej nie nazwanej wspólnoty wartości politycznych odwoływaliśmy się uparcie również po II wojnie światowej.

\*

Musieliśmy przeżyć pół wieku i wylać morze krwi, aby przy Okrągłym Stole skosztować owoce tego przemówienia. Aleja Józefa Becka, na obrzeżach Warszawy, jest tylko skromnym upamiętnieniem osoby jednego z najbardziej zasłużonych polityków polskich XX wieku. Jestem przekonany, że Marszałek, zerkając w prawo na własny Plac w Warszawie, widziałby z radością na rogu Wierzbowej (gdzie w czasach II RP mieściło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych) postać swojego ulubionego i najzdolniejszego ucznia.